

23, rue Taitbout
PARIS (IX)

CENA 0,60 F
PRIX 7 Fr. B.

10 KWIETNIA 1966
AVRIL
Nr 15 (443)

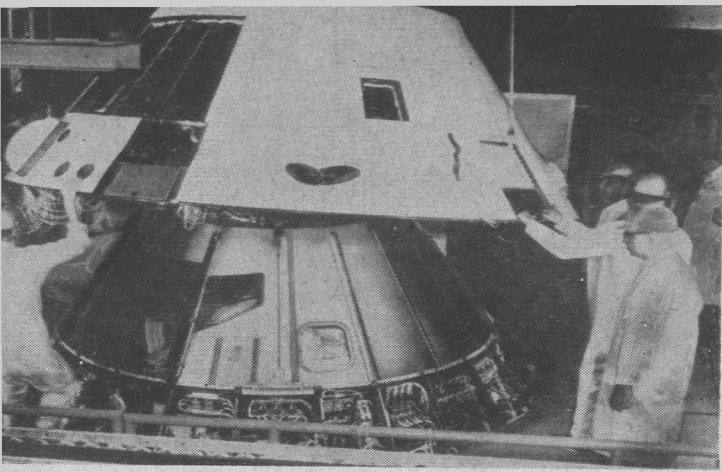
Tygodnik Polski

LA SEMAINE POLONAISE



WESOŁEKO ALLELUJA

2373



Przed pięciu laty, 12 kwietnia 1961 roku, pierwszy w historii ludzkości człowiek odbył lot w przestrzeni kosmicznej. Był nim Rosjanin Jurij Gagarin w pojeździe kosmicznym „Wostok-1”. W ciągu minionych pięciu lat kosmonauci, Rosjanie i Amerykanie dokonali kilkunastu śmiałych lotów indywidualnych i zespołowych wraz z próbami wyjęcia z kabin w przestrzeń kosmiczną, a ostatnio również łączenia dwóch rakiet. W roku 1966 wzrosło zapewne liczba pionierów podboju Kosmosu. Powyżej: montaż jednej z kabin pojazdu kosmicznego



Po dość ciężkiej zimie z ogromną niecierpliwością oczekiwano w całej Europie nadejścia wiosny. Powyżej: Pola Elizejskie w Paryżu w wiosenne popołudnie

**Zdjęcia:
CAF i KEYSTONE**

Toyoko Mera z Tokio (na zdjęciu z lewej) od dwóch lat wykonuje z jedwabiu, drutu i sznurka ładne sztuczne motyle. Wzory czerpie z podręczników i książek. W jej kolekcji znajduje się ponad 1000 bajecznych kolorowych motyli

BIURO PODRÓŻY TRANSTOURS

Oficjalny przedstawiciel „ORBIS” licencja 132

22, rue du 4 Septembre - PARIS II - tél. RIC. 77-40
49, av. de l'Opéra - PARIS II - tél. RIC. 47-39
(metro: OPERA)

organizuje wyjazdy do Polski w odwiedziny do rodzin

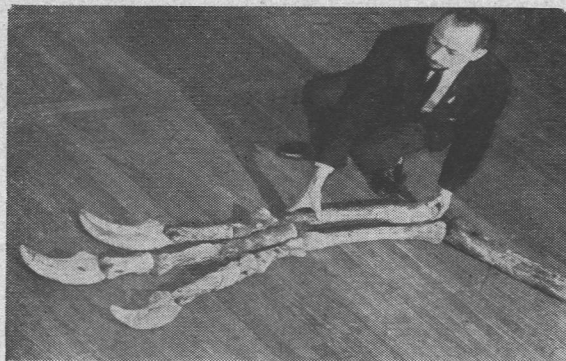
Od maja regularne wyjazdy dwa razy w tygodniu pociągami bezpośrednimi (bez żadnych przesiadek)

z PARYŻA, LILLE oraz METZU do POZNANIA, WROCŁAWIA, KATOWIC i KRAKOWA

TRANSTOURS

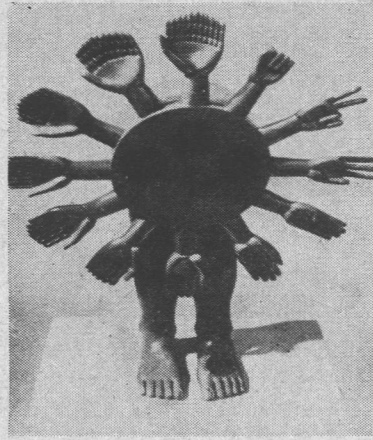
- załatwia wszelkie formalności paszportowe i wizowe;
- wystawia bony „ORBIS” wymienne w Polsce na złote;
- przekazuje pieniądze do Polski po bardzo korzystnej relacji;
- sprowadza krewnych z Polski do Francji na urlop;
- wystawia bilety kolejowe, lotnicze i okrętowe po cenach oficjalnych.

Zgłoszenia i zapisy przyjmuje TRANSTOURS oraz nasi korespondenci terenowi



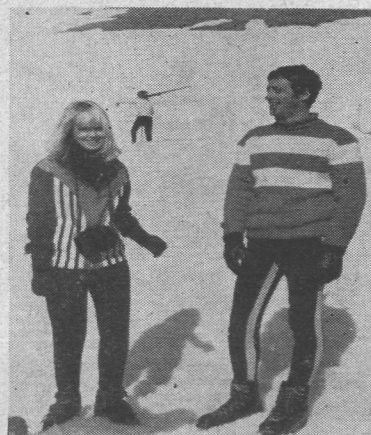
Ekspedycja polskich paleontologów dokonała na pustyni Gobi w Mongolii cennego odkrycia. Polacy odnaleźli szczątki ogromnego dinozaura, gada żyjącego w okresie kredowym przed 80 milionami lat. Oto spreparowana przednia kończyna dinozaura

Słynna Line Renaud występuje w nowym wielkim widowisku w Casino de Paris. Ten super-spektakl wystawiono kosztem 375 milionów starych franków. Na zdjęciu Line Renaud w swojej garderobie wśród wiązanek kwiatów ofiarowanych jej przez wielbicieli



W Muzeum Sztuki Współczesnej w Nowym Jorku rzeźbiarz Pedro Fiedberg wystawił oryginalny zegar z drewna. 12 promieniście wystających dłoni przy pomocy odpowiedniej ilości palców wskazuje kolejne godziny

W nowym filmie francuskim nakręcanym obecnie w Megève występuje cała plejada znanych aktorów, wśród nich para ulubieńców publiczności: Mylène Demongeot i Jean-Paul Belmondo. Film ma tytuł „Tkliwy urwis”



▲ Depuis le premier exploit cosmique de Gagarine, le 12 avril 1961, cinq ans ont passé. A en juger des progrès accomplis, on expédiera bientôt dans l'espace des...wagons-lits. Voilà le montage de la cabine d'un nouveau vaisseau cosmique.

▲ Enfin le printemps, aux Champs-Élysées comme ailleurs.

▲ La collection compte plus de mille papillons multicolores que depuis deux ans la Japonaise Toyoko Mera confectionne en fil de fer, cordon et soie.

▲ Dans le désert de Gobi, les paléontologues polonais ont découvert les restes d'un dinosaure d'il y a 80 millions d'années. Voici une de ses „pattes” reconstituée.

▲ La nouvelle revue du Casino de Paris est un immense succès pour Line Renaud.

▲ Le sculpteur Pedro Fiedberg a présenté à New-York une horloge plutôt originale. Douze mains en bois indiquent des doigts l'heure exacte.

▲ Mylène Demongeot et Jean-Paul Belmondo tournent un nouveau film à Megève.

Ciemne lub jasne, PIJ CIE PIWO! Najlepszego gatunku piwa w browarze

bières fines

depuis 1650
Vegeta

QUALITÉ
FRANCE



i posiadające stempel
wysokiej jakości:
„QUALITE FRANCE”

Wydział Handlowy:
49, Boulevard de la
Liberté - LILLE tél. 57-34-34

motte
cordonnier



Wielkowie tradycje świąteczne

Kurpiowska pisankarka Marianna Kalinowska ze wsi Dęby w powiecie Kolno pielęgnuje stary zwyczaj kraszenia jaj na Wielkanoc. (Piszemy o tym na str. 15). Poniżej: dyngusowe igraszki koło studni na przedmieściach Łowicza



TRADYCYJNE ZWYCZAJE świąteczne przekazywane od wieków z pokolenia na pokolenie zmieniają charakter i treść, ale ich oprawa dekoracyjna i formy pozostają prawie takie same. Dzieje się tak szczególnie ze zwyczajami wielkanocnymi, które skojarzone są z powitaniem wiosny, wzajemnym darowaniem win, pochwałą rodzącego się życia. W zwyczajach wielkanocnych wyrażonej niż w tych, które się wiążą z Bożym Narodzeniem, miesza się żywiolowa ludowość z ceremoniałem religijnym, świecka rubaszność z obowiązkami kościelnymi.

Główne zwyczaje wielkanocne w Polsce to groby, święcone, rezurekcja, gaik, dyngus i rękawka. Przybrane w zaciemnionych miejscach groby mają skłaniać do medytacji nad przemianami życia i własnymi winami, święcone jądła ma zabezpieczyć powszechną jego obfitość, rezurekcja i radosne Alleluja obwieszczać koniec pokuty i narodziny życia, powrót wiosny, którą wita obnoszony po wsiach i osiedlach gaik, wreszcie dyngus, czyli wzajemne oblewanie się wodą, daje upust młodzieńczej swawoli, a rękawka, czyli obdarowywanie biednych, wyraża chęć dopomożenia potrzebującym.

Zwyczaje te pielęgnowane są do dziś w wielu polskich domach.

WIELKANOC W KOLONII

W DOMU, W KOLONII, mieszkają rodzice. Oboje w starszym już wieku, ojciec od ładnych paru lat jest na emeryturze. W mieszkaniu, w „H.L.M.-ie”, w pobliskim mieście, mieszkają młodzi. Córka, zięć i wnuk. W domu okres przedwielkanocny cechuje wielką i gorączkową pracą. Zdziera się przede wszystkim ze ścian starą tapetę i nakleja tapetę nową. Bieli się sufity. Pierze się wszystkie firanki. Krewnym i znajomym wysyła się — na kartkach z zajaczką i napisem „Joyeuses Pâques!” — życzenia wesołych świąt. Najpóźniej w Wielki Piątek wieczorem zarzyna się królika czy też indyka. W sobotę znosi się od rzeźnika — koniecznie polskiego — kiełbasy: krakowską, metkę, wędzoną, suszoną...

W mieszkaniu, u młodych, nie tapetują, bo i nie trzeba: ściany są malowane farbą. Sufitów też się nie maluje, bo mieszkanie jest całkiem nowiułtenkie. Należałoby uprać firanki, ale jeśli się ich nie upierze, to też nic się nie stanie. Zyczeń się nie wysyła, bo „szkoda pieniędzy”. O zabijaniu królików czy indyków nie ma w ogóle mowy. Nie hoduje się ani królików, ani indyków, ani innych gęsi czy kur — bo nie ma gdzie tego trzymać. Zresztą po co miałby się tym trudzić, niech się o to troszczą rodzice, dla których ta hodowla to przecież przyjemność. Na obiad będą w Wielkanoc i tak jedli królika — właśnie w domu, u rodziców. Są przecież zaproszeni... Za to kupuje się — za pośrednictwem rodziców — sporo polskiej kiełbasy. Wieczorem w Wielkanoc będą u nich znajomi — rodowici Francuzi, którym polską kiełbasą niesamowicie można zaimponować. Babek się w mieszkaniu nie piecze. Te, które się je — nad wszelki wyraz chętnie — importowane są z domu, od rodziców.

Kulminacyjnym punktem przygotowań do świąt jest w domu praca przy święconym. Musi być kobiałka wysłana białą serwetką, a w kobiałce mała babka, kawałek chleba, kawałek szynki, trochę wędzonej kiełbasy, trochę masła, pieprz, sól i chrzan, no i, oczywiście, malowane jajka, czyli pisanki. Tak jak w Polsce albo przynajmniej — prawie tak jak w Polsce. Ma-

lowaniem jaj zajmuje się przywieziony do dziadków w sobotę rano wnuk. Maluje gorliwie. Część będzie dla dziadków, a część dla nich; tata, kiedy wieczorem po niego przyjedzie, zabierze je do swojego „2 CV”. Młodzi, choć nie przywiązują do święconego tak wielkiego znaczenia jak dziadkowie, to jednak koniecznie chcą mieć u siebie w mieszkaniu pomalowane jajka. Nie, żeby widzieli w pisankach jakiś symbol dawnych wzruszeń i przeżyć, tylko po to, aby w niedzielę wieczorem, kiedy przyjdą do nich znajomi — rodowici Francuzi, móc się przed nimi tym pochwalić. Rodzicom tłumaczą, że „to robi très bien, bo to jest „original”. Podobnie zresztą jak polska kiełbasa i jak babki.

*

W WIELKANOCNE RANO w domu, w kolonii, wstaje się wcześniej i idzie do kościoła. W mieszkaniu w „H.L.M.-ie” też wstają wcześniej, ale do kościoła nie idą. On wyrusza do najbliższego „P.M.U.” kombinować wielkanocny „tiercé”. Ona — do fryzjerki, która tyle w przedwielkanocnym tygodniu miała klientek, że nawet i w niedzielne przedpołudnie jeszcze musi pracować. W samo południe jadą wszyscy na obiad do domu.

Przed obiadem dzielą się jajkiem i piją białe wytrawne wino. „Dzidzius” dostaje od „Busi” czekoladowego zajaczkę. Potem zaczynają jeść — rozmaite przystawki, szynka święcona i nie święcona, kiełbasy, tuńczyk, następnie idzie czernina, królik; wreszcie idą w ruch babki i placki. Komentują fakt, że kolonijny piekarz — Francuz pomylił się; w Wielki Piątek pytał wszystkie polskie gospodynie, czy nie chcą maku. Bo ma, specjalnie zakupił dużo maku. Przecież Polacy robią na Wielkanoc kluski z makiem. Pocziwy piekarz rozbawił całą kolonię. Starzy rodzice wspominają także Święta Wielkanocne, jakie przed wielu, wielu laty spędzali w Polsce. Mówią także o tym, jak to jeszcze w latach powojennych taka na przykład tradycja jak dyngus przestrzegana była w ich kolonii i na Nordzie w ogóle nie tylko przez wszystkich jak jeden mąż Polaków, ale również i przez Francuzów. Tata „Dzidziusia” opowiada, że kiedy zaczął chodzić do szkoły, odpowiedział raz nauczycielowi — na jakieś pytanie dotyczące jaj — że jajka w okresie wielkanocnym znoszą także i zajace...



Stoisko Ośrodka Informacyjnego „ORBIS” na Międzynarodowych Targach Turystyki w Nicei w dniu ich otwarcia

POLSKIE STOISKA INFORMACJI TURYSTYCZNEJ

Na międzynarodowych targach w Nicei zorganizowano stoisko Polskiego Biura Podróży ORBIS. Stoisko cieszyło się dużym zainteresowaniem publiczności, która oglądała pejzaże Polski i zakupywała wyroby przemysłu ludowego i artystycznego. Sprzedaż prowadził Dom Handlowy „Polonia” z Lyonu.

W dniu otwarcia stoiska w Salonie Honorowym kierownik paryskiej placówki ORBIS-u p. Janusz PIEWCWICZ wydał cocktail, na który przybyli: reprezentant mera Nicei adwokat **SLAMA**, zastępcy merów Nicei i Grasse p.p. **ELOY** i **LITSCHGY**, prezes targów p. **G. CASTEU** w otoczeniu członków Komitetu Organizacyjnego, liczni przedstawiciele miejscowych biur podróży, reprezentanci linii lotniczych AIR-FRANCE i SWISSAIR.

Wśród przybyłych przedstawicieli Polonii obecni byli również działacze Stowarzyszenia Kombatantów Polskich na Lazurowym Wybrzeżu; wiceprezes prof. **Trawiński**, skarbnik p. **J. Kucharski** i pułkownik **Zakrzewski**. Obecny był także konsul PRL w Lyonie p. **Jarosław KULCZYCKI**.

Stoiska informacji turystycznej Polskiego Biura Podróży ORBIS-u zostaną zorganizowane również na targach w Tuluzie (28 kwietnia — 9 maja), Grenobli (14—23 maja), TARBES (14—22 maja) i Bordeaux (16—27 czerwca).

Informacje turystyczne będą też udzielane w stoiskach Polskiej Izby Handlu Zagranicznego w Lyonie, Paryżu, Lille, Strasburgu i Marsylii.

PIEW.

Dokończenie na str. 4

KŁOPOTY Z DATAMI

MOŻNA BY PRZYPUSZCZAĆ, że skoro Mieszko I przyjął chrzest w 966 roku, więc tegoroczna Wielkanoc obchodzona jest przez Polaków po raz tysięczny. Tak jednak nie jest. Po pierwsze, nie jest nam dokładnie znana data pierwszego dotarcia chrześcijaństwa na ziemie polskie, choć jest dzisiaj rzeczą pewną, iż w południowej części Kraju, w rejonie Krakowa i Wiślicy krzewili nową wiarę greccy misjonarze Cyryl i Metody już w IX wieku, czyli znacznie przed chrztem Mieszka. Po drugie, chrzest Mieszka I w 966 r. był dla sławnego już wówczas księcia Polan przede wszystkim aktem politycznym i nie należy go utożsamiać z równoczesną chrystianizacją całego państwa, którym Mieszko władał. Kilka wieków jeszcze upłynęło, zanim chrześcijaństwo szerzej się przyjęło. Świadczy o tym m.in. fakt, że w 1037 r., a więc w około 80 lat po przyjęciu przez Mieszka chrztu wybuchło w Polsce powszechne powstanie ludowe na tle religijnym. „Ludzie powstawszy — zanotowali średniowieczni kronikarze — pozabijali biskupów i kapłanów i panów swoich...” „Porzucając wiarę katolicką rozpoczęli bunt przeciw biskupom i księżom Boga; niektórych z nich jako godniejszą śmiercią — mieczem zgładzili, innych godniejszych lichszej śmierci — ukamienowali”.

W całej Wielkopolsce i na Śląsku przywrócili godność i część dawnym bożkom. Chrześcijaństwo zniknęło, nie zdołało bowiem jeszcze zapuścić w Polsce mocniejszych korzeni. W mniejszym stopniu powstanie ludowe sięgnęło na południowe tereny kraju, gdzie na ziemiach dawnego państwa Wiślan tradycja chrześcijaństwa była dłuższa i bardziej ugruntowana.

A więc tak naprawdę to nic nie wiemy, jak to było z obchodami świąt chrześcijańskich w Polsce w pierwszych wiekach jej państwowości. Wiadomo natomiast, że w dalszym ciągu święcono powszechnie starosłowiańskie uroczystości i obrzędy, hołdowano dawnym bożkom i zwyczajom. Znako- mity uczonej Aleksander Brückner, zmarły na krótko przed drugą wojną, tak charakteryzuje pierwszy okres chrześcijaństwa w Polsce:

„Sam przewrót, jaki przyniosła nowa wiara, pozostał w razie tylko pozorny. Kult pogański zniknął wprawdzie od razu z powierzchni, ale lud pozostał pogański w życiu i duchu. Polsce jeszcze w XI wieku, nie mówiąc o wieku X, obcym pozostało chrześcijaństwo średniowieczne. Kwitły po dawnemu krewawa zemsta rodowa, targi niewolnikami, napełnianie żon- pociegi, małżeństwa w bliskim stopniu pokrewieństwa, kult bożków domowych i przodków, pogańskie wesela i stypy, nawęzy (amulety) i czary. Chrześcijańskie było duchowieństwo, w znacznej części na wyższych posadach obcego pochodzenia, dwór królewski i możnowładztwo, ale poza tę cieniutką warstwę nie sięgała nowa wiara”.

Jednym z głównych powodów przeciwstawiania się chrześcijaństwu było według Brücknera wdzieranie się nowej władzy, bo tak to rzecz lud traktował w związku ze zjawieniem się obcych duchownych, w życie prywatne. Wprowadzała ona zakazy, jakich dawniej nie znano. Zabraniała np. jedzenia koniny i mięsa „nieczystych” zwierząt w ogóle albo w pewne dni czy przez całe tygodnie. Nie mógł lud pojąć sensu umartwiania ciała poprzez posty jak i wtrącania się władzy do życia małżeńskiego i żądania czystości płciowej. Nie rozumiał też zakazów pracy w niektóre dni (niedziele). Szybko

przekształcił je w targi, co tak bardzo przeraziło biskupa praskiego, późniejszego świętego Wojciecha. W innych sprawach nowa władza niczym się nie różniła od poprzedniej, a „woźni i komornicy książęcy dopuszczali się dalej licznych nadużyć” z tym jednak, że „pod płaszczykiem nowej wiary i jej wymagan”.

Trwało więc pogaństwo po swojemu, choć gdy je likwidowano nikt nie stawiał specjalnego oporu przeciw burzeniu ołtarzy czy topieniu bożków. Natomiast zachowywano uparcie ludową tradycję, obrzędy, zwyczaje, święta. I dopiero gdzieś w XIII w. zostały one przez kościół wykorzystane. Duchowni nie usiłowali już walczyć z wiekową tradycją, przekonawszy się, że nie daje to wyników. Zaczęli uznawać dawne zwyczaje i nadawać im charakter świąt i uroczystości kościelnych. I stąd niejedno dzisiejsze święto kościelne czy sakralny obrzęd są w Polsce starsze niż chrześcijaństwo. Zresztą nie tylko w Polsce, ale i w wielu innych krajach, szczególnie słowiańskich.

Nikt nie jest więc w stanie dzisiaj ustalić, od jak dawna Polacy obchodzą Wielkanoc. Natomiast pewne jest, że przyjęte w okresie tych Świąt takie zwyczaje ludowe jak *dyngus* (*śmigus*), *gąk* lub *marzanna* wprowadzą się ze starosłowiańszczyzny, tj. z czasów sprzed wprowadzenia w Polsce chrześcijaństwa.

Wielkanoc należy, jak wiadomo, do świąt ruchomych, tzn. każdorazowo wypada wiosną, ale o innej porze, między 22 marca a 25 kwietnia. Ta ruchomość ma nawet specjalną nazwę „*stylu wielkanocnego*”, albo „*stylus Gallicanus*” lub „*stylus franciscus*”, ponieważ styl ten miał największe zastosowanie we Francji. Początek roku przypadał w nim na Wielki Piątek lub Wielką Sobotę, poszczególne lata były oczywiście przy takim obliczeniu nierówne i jako trwała miara czasu styl ten nie mógł się utrzymać.

Według obliczeń uczonych specjalistów w 966 roku wypadła Wielkanoc 15 kwietnia, ale według kalendarza juliańskiego, nazywanego dziś kalendarzem starego stylu. Kalendarz ten został przyjęty w 46 roku przed naszą erą w wyniku reformy dokonanej przez Juliusza Cezara i stąd jego nazwa *juliański*. Wcześniej starożytni Rzymianie obliczali czas według tzw. roku naturalnego. Liczył on 10 miesięcy o nierównej długości. Był oparty na obserwacjach niektórych zjawisk przyrody.

W miarę postępu cywilizacji taka miara czasu nie wystarczała. W poszukiwaniu dokładniejszej rachuby oparto się na roku księżycowym. Składał się on z 355 dni, podzielonych na 12 miesięcy, z których 4 miesiące miały po 31 dni, 7 miesięcy po 29 dni, a miesiąc luty — 28 dni. Można było rzecz podzielić bardzo prosto, zastosować kilka miesięcy po 30 dni, czego jeszcze nie zrobiono — gdyż jak tłumaczy uczeni — starzy Rzymianie byli ludźmi zabobnymi i liczby parzyste uważali za nieszczęśliwe.

Rok księżycowy jest, jak wiadomo, krótszy od słonecznego. Około V wieku przed naszą erą musiano więc zastosować dodatkowy co dwa lata miesiąc przestępny o 22 względnie 23 dniach, aby wyrównać powstałe stąd różnice. Powstał w ten sposób cykl czteroletni, liczący w sumie 1465 dni — co przy podziale przez cztery dawało 366 całych i jedną czwartą dnia, ale co wciąż nie odpowiadało długości roku słonecznego. Nie umiano do jego długości dotrzeć. Wspomniana reforma Juliusza Cezara wprowadziła cykl czteroletni, w którym 3 lata były zwyczajne po 365 dni i jeden rok przestępny z 366 dniami. W ten sposób przeciętna długość roku juliańskiego wynosiła 365 i 1/4 dnia i była już

bardzo znacznie zbliżona do astronomicznej długości roku słonecznego, liczącej 365 dni, 5 godzin 48 minut i 46 sekund. Różnica wynosiła niewiele ponad 11 minut.

Trzeba tu jeszcze dodać, że do czasu reformy Juliusza Cezara rok rzymski zaczynał się 1 marca, a dopiero na jego zarządzenie od 1 stycznia. On też wprowadził miesiąc 30 i 31-dniowy. Dzień przestępny przypadał w kalendarzu juliańskim na 24 lutego.

Cała ta reforma została wprowadzona z pomocą astronoma aleksandryjskiego Sozigenesa. Wzorowana była prawdopodobnie na starym kalendarzu egipskim i stanowiła znaczny postęp w dążeniu do prawidłowego obliczania czasu. Ale wspomniane wyżej 11 minut różnicy zrobiły swoje. Z tej drobnej na pozór ilości narastał co 128 lat jeden pełny dzień. Podejmowano najrozmaitsze próby, aby jakoś wybrnąć z sytuacji zgubienia tego dnia, na ogół jednak nieudane.

M.in. projekt nowego kalendarza opracował w 1516 r. na polecenie soboru laterańskiego Marcin Biem z Olkusza — profesor krakowski. Zaproponował on opuszczenie czterem dni w drugiej połowie marca w 1518 lub 1519 r., zalecał po 18 marca przejście od razu na 1 kwietnia i wyzbycie się dni narosłych z niedokładności obliczenia. Projekt był niezły, ale tylko doraźnie, nie zapobiegał bowiem na przyszłość systematycznemu marstaniu dodatkowych różnic.

Obecny kalendarz, tzw. gregoriański, wprowadzony przez Grzegorza XIII, obowiązuje od 1582. Jego naukowe uzasadnienie ogłoszono dopiero w 1603 roku. I ten kalendarz wykazuje w stosunku do roku słonecznego pewne różnice, jednak bardzo nieznaczne, zaledwie 26 sekund. Pełny dzień urośnie z nich dopiero po 34 wiekach od wprowadzenia. W każdym razie nie grozi już taka ewentualność, jak kiedyś według dawnych kalendarzy, że nowy rok nie trafi na zrównanie dnia z nocą, co jest jednym ze sprawdzianów dokładności mierzenia czasu na ziemi, lecz wypadnie w różnych latach o innej porze.

Stary kalendarz rzymski i jego następca juliański nie były w świecie jedyną miarą czasu. Różne cywilizacje wytworzyły własne sposoby mierzenia czasu, aczkolwiek wszystkie zdążyły do jednego celu. Były więc kiedyś kalendarze babiloński, chiński, indyjski i jeszcze kilka innych, a niektóre, jak np. mahometowski, nadal są w użyciu. Istniał też kalendarz słowiański. Obowiązywał na pewno w Polsce za Mieszka I, a może i za Bolesława Chrobrego. Do dziś nauka nie potrafiła odkryć szczegółów zasad tego kalendarza. Opierał się on na pewnych zjawiskach przyrodniczych i był podobno w swej podstawowej zasadzie zbliżony do roku słonecznego. Pozostały po nim nazwy niektórych miesięcy. Nie jest rzeczą pewną, od jakiego dnia obliczano w tym kalendarzu początek roku. Według jednych uczonych do jakiegoś czasu za pierwszy dzień roku uważano w Polsce 25 grudnia, a później dopiero 1 stycznia. Ten ostatni sposób datowania początku roku pewny jest dopiero od pierwszych lat XIII w., a jak było wcześniej — nie wiadomo. Można zakładać, że po wprowadzeniu chrześcijaństwa, które przez pierwsze półtora tysiąca lat używało kalendarza juliańskiego, obowiązywał i w Polsce kalendarz juliański. Pewne jest, że w pierwszych wiekach stosowano ten kalendarz na dworze książęcym i wśród dygnitarzy kościelnych, lud zaś przez kilka wieków liczył jeszcze po swojemu. Niezwykle trudne jest więc dziś ustalenie dat wydarzeń historycznych sprzed tysiąclecia według naszego obecnego kalendarza.

WRĘCZENIE NAGRODY ZA PROGRAM TELEWIZYJNY

Niedawno w Ambasadzie PRL w Paryżu odbyła się miła uroczystość. Poseł księstwa Monako, p. Delavenne, wręczył ambasadorowi PRL we Francji p. Janowi Druco przyznana Polsce na VI Międzynarodowym Festiwalu Telewizji w Monte-Carlo nagrodę krytyki za program telewizyjny pt. „Awatar”.

Na zdjęciu: Ambasador PRL p. Jan Druco (pierwszy od lewej) dziękuje posłowi Monako p. Delavenne (przy mikrofonie) za wręczenie nagrody krytyki — srebrną plakietkę.

Wielkanoc w kolonii

Dokończenie ze str. 3

WIECZOREM DO MIESZKANIA młodych w „H.L.M-ie” przychodzą znajomi. Telewizor, „apéritif”, jak zwykle w niedzielę mówi się o wyniku „terce” i o wypadkach samochodowych, jakie miały miejsce na drogach. Przy kolacji gospodarze mają się czym pochwalić: piśranki, polskie kiełbasy, a potem pyszne babki. „Dzidzius” zapewnia, że nawet kiedy będzie już taki duży jak tata, to nie przestanie malować jajek i już. Tata „Dzidziusia” powtarza znajomym za swoim teściem, jak to wyglądała Wielkanoc w dawnej Polsce: jedzono — „ile wlezie”, a nawet jeszcze więcej, wypijano zaś przy tym ocean wódki. Śmieją się zebrani — gospodarz tłumaczy na francuski wielkanocny

polski wierszyk, którego też nauczył go teść, i który kończy się takim ostrzeżeniem: „Bo kto pijaka nie umie szanować, ten w niebie kropki wódki nie dostanie!” — śmieje się, ale zaraz potem stwierdza, że jednak, że mimo wszystko — to wszystko musiało mieć dużo uroku. Na ekranie telewizora pojawia się uśmiechnięta twarz spikerki. „I tak oto minęły jeszcze jedne Fêtes de Pâques” — zaczyna piękna pani. „Patrie państwo — mówi jeden ze znajomych — Francuzów. — Gdyby się o tym nie mówiło w radiu i telewizji, gdyby nie wyroby cukierników, no i gdyby nie starzy Polacy, za sprawą których wszyscy na Nordzie jedzą na Wielkanoc „des babkis”, to ta dzisiejsza niedziela byłaby podobna do wszystkich innych niedziel. Tradycje jakoś zanikają. I to chyba na całym świecie. A szkoda. A c'est dommage...”
Walenty GAWĘDA

Związek Polskich
Kupców i Rzemieślników
we Francji



Union des Commerçants
Artisans Polonais
en France

Siège Social: 6, rue André-Antoine — Paris-18.

C.C.P. Paris 19.355-71 — Tél.: ORN. 33-30

NAJPIĘKNIEJSZA POLKA PARYŻA zostanie wybrana podczas balu animowanego przez Franciszka KMIECIKA 23 kwietnia br.

Po raz pierwszy Polonia paryska wybierze swoją

najpiękniejszą POLKĘ „MISS POLONIA PARYŻ”

podczas całonocnej zabawy, która odbędzie się

w sobotę 23 kwietnia 1966 od godziny 21 do rana

w sali merostwa 4 dzielnicy Paryża — Place Baudoyer — (Métro: Hôtel de Ville).

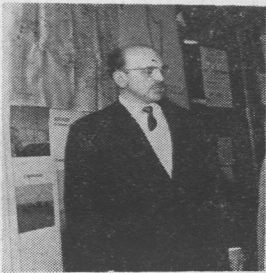
Podczas zabawy będzie przygrywać znana i znakomita orkiestra polska Radia i Telewizji Lille pod dyrekcją Franciszka KMIECIKA. (Nagrania płyt RIVIERA).

LICZNE ATRAKCJE I NIESPODZIANKI

Bufet ze specjalami polskimi.

Będzie to wieczór, który zostanie na długo w pamięci.

JEDNOZNACZNE STANOWISKO OPINII FRANCUSKIEJ



Stanowisko władz francuskich i całego niemal społeczeństwa francuskiego w sprawie granicy polsko-niemieckiej jest całkowicie solidarne z Polską: linia Odra-Nysa i Bałtyku traktowana jest jako granica ostateczna i niaruszalna. Stwierdził to w swych wypowiedziach prezydent Republiki general de Gaulle, premier rządu, przewodniczący Zgromadzenia Narodowego i wiele innych wybitnych osobistości francuskich.

Stowarzyszenie Obrony Granic na Odrze i Nysie, poprzez które opinia Francji daje w tej sprawie od wielu lat swój wyraz, jest w przededniu swej dorocznej Konferencji Krajowej. W związku z tym sekretarz generalny Stowarzyszenia, p. Aleksy KRAKOWIAK udzielił „Tygodnikowi Polskiemu” następującej wypowiedzi:

STOWARZYSZENIE OBRONY GRANIC NA ODRZE I NYSIE istnieje od szesnastu lat. 24 kwietnia odbędzie się w salach Hôtel Moderne w Paryżu czternasta z kolei doroczna Konferencja Krajowa naszego Stowarzyszenia. Weźmie w niej udział 300 delegatów oraz zaproszonych gości, w charakterze obserwatorów, z około 30 departamentów. Powita ich i otworzy Konferencję przewodnicząca Stowarzyszenia p. Alicja Halicka. O zagadnieniach związanych z polskimi Ziemiemi Zachodnimi i Północnymi oraz o granicy Odra-Nysa w aspekcie obecnej sytuacji międzynarodowej mówić będzie członek prezydium Stowarzyszenia p. Maurice Bouvier-Ajam, dyrektor Instytutu Prawa Stosowanego, laureat Akademii Francuskiej, ja natomiast, jako sekretarz generalny Stowarzyszenia, złożę sprawozdanie z rocznej działalności. Obradom przewodniczyć będą kolejno dwaj członkowie prezydium Stowarzyszenia: p. Paul Bastid, profesor Wydziału Prawa i Nauk Ekonomicznych Uniwersytetu Paryskiego, członek Instytutu, były minister oraz p. Roger Garreau, pierwszy po wojnie ambasador Francji w Warszawie.

Celem akcji Stowarzyszenia Obrony Granic na Odrze i Nysie jest walka z rewizjonistyczną propagandą zachodniemiecką oraz informowanie opinii publicznej Francji o prawdzie na temat historii i obecnej sytuacji polskich Ziemi Zachodnich i Północnych. Konferencja Krajowa, która jest okazją do podsumowania wyników rocznej działalności Stowarzyszenia i określenia perspektyw rozwojowych, odbywamy co rok. Trzeba podkreślić jednak, że tegoroczna, XIV Konferencja posiadać będzie charakter specjalny. Będzie ona w pewnym sensie „konferencją zwycięstwa”. Składa się na to szereg przyczyn. We Francji popiera naszą akcję w sposób zdecydowany coraz więcej ludzi; ogromna większość społeczeństwa opowiada się za uznaniem oficjalnym przez wszystkie mocarstwa granicy Odra-Nysa jako definitywnej. Wszędzie, dokądkolwiek docieramy, napotykamy na wyrazy życzliwości i uznania. Zjazd nasz w Paryżu nazwać możemy „konferencją zwycięstwa” również i dlatego, że nawet w Niemieckiej Republice Federalnej słyszmy obecnie głosy będące wyrazem rozsądku i realizmu. Świadczy o tym m.in. memoriał Kościoła Ewangelickiego. Dostał się on wprawdzie pod ostrą ostrzał rewizjonistów, ale niektóre oficjalne osobistości przyjęły memoriał bardzo życzliwie.

Niedawno wicekanclerz zachodniemiecki, p. Mende wystąpił z materiałem, który oddany został do rozpracowania jednej z komisji Bundestagu. Wypowiada w nim życzenie, aby na sprawę granicy polsko-niemieckiej patrzone z większym realizmem i godzi się z koniecznością dyskusji o niej temat. W tym ostatnim zdaniu zawarty jest pewien krok wstecz wicekanclerza Mendego, żywiącego nadzieją, jakoby możliwe były jakieś terytorialne ustępstwa.

Nasze stanowisko, niewzruszone stanowisko Stowarzyszenia „Odra-Nysa”, pokrywa się natomiast całkowicie ze stanowiskiem rządu polskiego i całego narodu polskiego: nie może być mowy o jakiegokolwiek zmianie obecnie istniejących granic Polski z Niemcami.

NASZEJ TEGOROCZNEJ KONFERENCJI KRAJOWEJ nadać specjalnie uroczysty charakter jubileusz tysiąclecia państwowego istnienia, obchodzony przez Polskę. — Od 20 lat Polska jest znowu na swych prastarych ziemiach piastowskich nad Odrą, Nysą i Bałtykiem, jak przed tysiącem lat, to znaczy w okresie, gdy powstawało Państwo Polskie.

Delegaci nasi zdają sobie sprawę jednakże, że niebezpieczeństwo rewizjonizmu zachodniemieckiego istnieje i że zwycięstwo ideałów Stowarzyszenia „Odra-Nysa” nie jest jeszcze zupełne. W wielu miejscowościach spotykamy się ciągle jeszcze z rozprowadzanymi szeroko mapami rewizjonistycznymi, z prospektami, broszurami czy nawet dużymi publikacjami książkowymi.

W sercu Paryża, przy placu Opery, mieści się Office du Tourisme Allemand, który zapatrjuje wszystkich interesujących się turystyką do Niemiec w materiały informacyjne, zawierające mapki Niemiec z granicami z 1937 roku. Pamiętamy wszyscy zredagowaną w duchu rewizjonistycznym „Realités Allemandes”, która również pojawia się w Paryżu i wielu innych miastach francuskich w dużym nakładzie. Ostatnim wreszcie wyczynem rewizjonistów jest książka Jakscha „Postdam 1945 ou l'histoire d'un mensonge”.

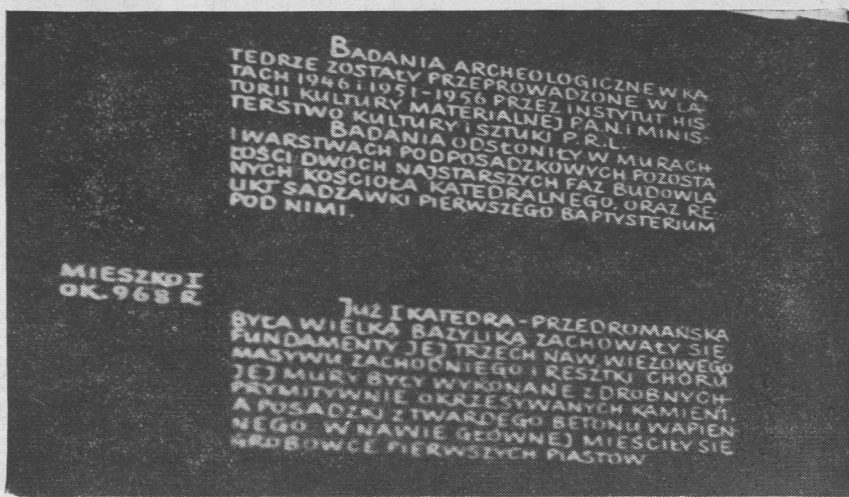
Celem dokładnego poinformowania naszych członków i działaczy o prawdzie na temat Zachodnich i Północnych Ziemi Polski wydaliśmy dwa dodatki do naszego Biuletynu, w których raz jeszcze sprecyzowaliśmy szereg faktów historycznych oraz wydarzeń współczesnych, tak zreszcie ukrytych lub fałszowanych przez Niemców. Dodatki te są zatytułowane: „Légende et réalité — Le révisionnisme allemand sous l'enseigne humaine de „la tragédie des Allemands de l'Est” au „Droit à la Patrie” oraz „Hitlerowska przeszłość działaczy ziomkowskich w NRF”.

Działacze nasi starali się zainteresować Konferencją „Odra-Nysy” prasą lokalną na terenie, na którym pracują. Odbyły się konferencje prasowe w północnej Francji i w Paryżu, nowe wystawy, m.in. wystawa w Asnières, której przewodniczył m. p. Michel-Maurice Bokanowski — wreszcie bale i inne imprezy, dające okazję do zapoznawania ludzi z działalnością naszego Stowarzyszenia i szerszego jeszcze rozpowszechnienia naszego Biuletynu.

PO KONFERENCJI KRAJOWEJ OCZEKUJEMY, że przyczyni się ona do masowego rozprowadzenia kart członkowskich Stowarzyszenia „Odra-Nysa”, które już teraz rozchodzi się tysiącami na terenie wszystkich departamentów. Pragniemy, aby działacze nasi i przyjaciele zakładali nowe komitety lokalne, organizowali jak najwięcej wystaw, spotkań dyskusyjnych, a także balów i innych imprez, które zasilają fundusze naszego Stowarzyszenia. Pragniemy także, aby merostwa jak największej ilości miast francuskich nawiązywały kontakty z radami narodowymi miast polskich na Ziemiach Zachodnich. Inicjatywę tego rodzaju wykazują ostatnio Troyes i Le Havre. Kontakty te nawiązywane będą pod egidą naszego Stowarzyszenia.

Plany na przyszłość są rozległe, pracy więc na Konferencji Krajowej będzie dużo. Jednakże delegaci nasi i zaproszeni goście skorzystają również i z pięknego spektaklu, a mianowicie w sobotę 23 kwietnia, tzn. w przeddzień Konferencji, zaproszeni będą na występ słynnego polskiego zespołu „Mazowsze” do music-hallu „Alhambra”.

Po zakończeniu prac wydamy przyjęcie na cześć osobistości francuskich, które zaszczycą Konferencję swą obecnością. W dniu naszej Konferencji udamy się również wszyscy pod Łuk Triumfalny i złożymy wieniec na Grobie Nieznanego Żołnierza. Uroczystość taka stała się naszą tradycją od 14 lat, odkąd organizujemy nasze Konferencje Krajowe w Paryżu.



Tablice informacyjne w katedrze poznańskiej mówią o jej ciekawych dziejach i szczegółach odkryć dokonanych w świątyni w ostatnich latach

TU RODZIŁA SIĘ POLSKA 966

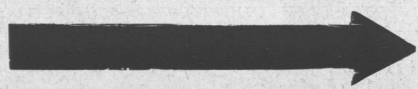
Trudno powiedzieć na pewno, w którym z polskich grodów doszło w 966 roku do uroczystości wprowadzających Mieszka I w grono władców chrześcijańskich: w Gnieźnie, na Ostrowie Lednickim czy w Poznaniu, a może jeszcze gdzieś indziej. Niektórzy z badaczy nie wykluczają możliwości, że chrzest Mieszka odbył się poza granicami jego państwa. Znana jest data tego wydarzenia, znane są jego główne postacie, ale gdzie się to wszystko działo, nie podaje żaden z autorytatywnych dokumentów tamtego czasu. Przez długie lata wiązano wydarzenie 966 roku z Gniezmem, ale przecież na sąsiednim Ostrowie Lednickim był również gród i świątynia wzniesiona, a raczej przekształcona z dawnej świątyni pogańskiej. Nie bez racji brano też pod uwagę Kruszwicę, jeden z najstarszych grodów słowiańskich.

BADANIA ARCHEOLOGICZNE podjęte po wojnie pod obecnym masywem katedry w Poznaniu doprowadziły do rewelacyjnych odkryć i odgrzebania tzw. baptysterium, czyli sadzawki pozwalającej na zanurzenie podczas obrzędu chrztu, czego wymagały ówczesne reguły. Znalezione też w sąsiedztwie baptysterium w obrębie najstarszej kamiennej bazyliki pierwsze grobowce Mieszka i Chrobrego.

A więc może Poznań był świadkiem owego ważnego wydarzenia przed tysiącem lat, które z Mieszka, księcia znanego już szeroko, czyniło władcę zaprzyjaźnionego z innymi książętami europejskimi. Był już wówczas Mieszko władca potężnym, z którym musiano się liczyć. Wcześniej pojawił za żonę czeską Dubrawę, chrześcijankę. Według kroniki spisanej przez Thietmara — biskupa merseburskiego (zmarł w 1018 roku, a więc notował ówczesne wydarzenia niemal współcześnie), Dubrawa uległa namowom męża i wbrew chrześcijańskiej regule bynajmniej nie umartwiała swego ciała w okresie postu, ale „umyślnie postępowała zdradnie, aby później działać dobrze” i doprowadzić małżonka do wyrzeczenia się pogańskich wierzeń. Dla Mieszka zaś ceremonia chrztu w 966 roku była przede wszystkim aktem politycznym, równała go z władcami chrześcijańskimi, którzy dotąd pod pozorami nawracania pogańskich Polan raz po raz grabili jego kraj. Wprawdzie

rycerstwo Mieszka pod jego osobistym kierownictwem zalało im nieraz sadza za skórę, ale Mieszko — władca rozumny i polityk nieprzeciętny — docenił w pełni wagę pokoju dla umocnienia państwowej organizacji, obronności i wzbogacenia kraju.

Najstarsza część Poznania, gdzie mieści się katedra, jest dziś jakby peryferią obecnego i średniowiecznego centrum tego sławnego miasta. Zachowała starą nazwę: Ostrów Tumski. Odbiega swym charakterem od ulic tętniących wielkomięskim gwarem, ożywionych blaskiem kolorowych wystaw i neonów, od wielkich gmachów, w których mieszczą się placówki urzędowe, kulturalne i uniwersyteckie. Inny jest też Ostrów Tumski od zabytkowej części Poznania, uroczej Starówki, otoczonej kształtnymi i barwnymi kamieniczkami, wśród których dominuje cudzo renesansowej architektury — poznański Ratusz ze słynnymi koziołkami, wychodzącymi z zegarowego ukrycia zawsze punktualnie w południe.

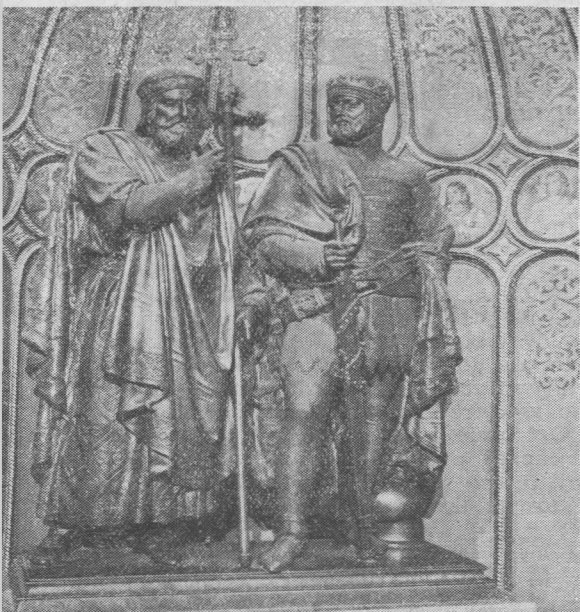
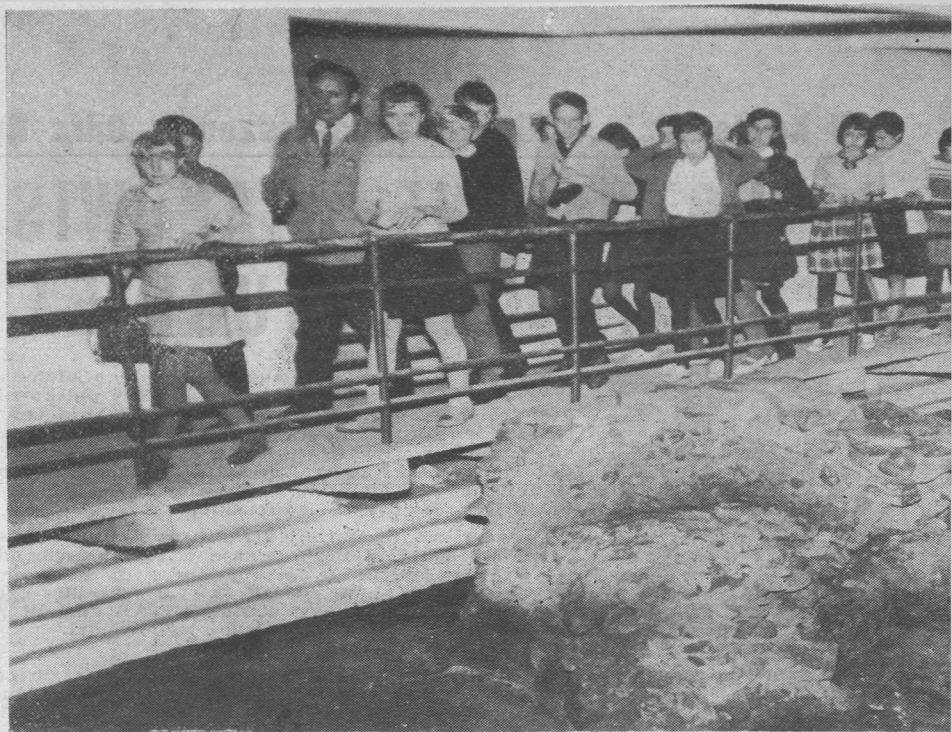


Pod głównym masywem olbrzymiego gmachu poznańskiej katedry na Ostrowie Tumskim oglądać można z galerijek cenne relikty sprzed tysiąca lat: baptysterium, grobowce, resztki murów oraz makiety dawnych budowli



TU RODZIŁA SIĘ POLSKA

966



Monumentalny pomnik Mieczysława I i Bolesława Chrobrego w Złotej Kaplicy w katedrze poznańskiej. Spiżowe postacie obu pierwszych władców stoją na marmurowym cokole. Pomnik jest dziełem Chrystiana Raucha. Ustawiono go w 1841. Od tego czasu mimo wielu wojen i niemal zupełnego zniszczenia katedry w 1945 r. pomnik pozostaje nadal w tym samym miejscu

OSTRÓW TUMSKI w Poznaniu jest pewnego rodzaju oazą na prawym brzegu Warty, wciśniętą w trójkąt między rzekę a jej dopływ — Cybinę. Kiedyś musiał on górować nad okolicznymi równinami. Tu był gród książęcy, umocniony od dawna — może za czasów pierwszych Piastów, a rozbudowany za Mieszka I i Bolesława Chrobrego. Dzisiaj wszystko co tu pozostało, z imponującą katedrą włącznie, jakby osiadło, wcisnęło się w ziemię trójkątnego klina na Ostrowie. Jest teraz niższe od sąsiednich dzielnic Poznania, od wieżowców, gmachów, fabrycznych hal i kominów miasta.

I chociaż tuż pod bokiem świątyni rozwidła się sieć nowoczesnych dróg, którymi mkną tysiące samochodów, choć w pobliżu pędzą elektryczne pociągi przeskakujące rzekę i na pełnych obrotach pracują fabryki, tu jest zawsze cicho i dostojnie. Kierowcy mijając dawny grodowy teren tłumia huk motorów, a dyskutujący przechodnie przyciszają rozmowy, jak gdyby w naturalnym szacunku dla obu pierwszych historycznych władców — Mieszka i Bolesława Chrobrego, którzy ugruntowali polską państwowość i których szczątki spoczywają w otoczonej wiekowymi drzewami świątyni.

Spokój na Ostrowie Tumskim i dynamika sąsiednich dzielnic Poznania mają w sobie coś symbolicznego. Wiele razy w tysiącleciu wszystko waliło się tu w gruzy, płonęło, znikało — zdawało się bezpowrotnie — lub ulegało wrogiemu przytłoczeniu. Kolejne nieszczęścia, nawet te największe, miały jednak, a państwo scementowane przez

Mieszka i Bolesława Chrobrego trwa nadal niewzruszenie.

Szcątki obu władców w katedrze przenoszono kilkakrotnie. Znikały w czeluściach jej podziemi, później ulatywały z ludzkiej pamięci miejsca, w których je umieszczano, a po wiekach znowu je odkrywano. Badania przedsięwzięte po drugiej wojnie, kiedy katedra stanowiła jedno rumowisko, a wśród jej murów sterczały zamilkłe dzieła niemieckie, doprowadziły do odkrycia najstarszych relikwów związanych z pierwszym ugruntowanym już okresem polskiej państwowości.

*

LUDOWE PAŃSTWO POLSKIE podniosło katedrę poznańską z gruzów. Jego kosztem uczeni polscy dokonali w czasie odbudowy świątyni gruntownych badań. W olbrzymim dziele pt. „Archidiecezja poznańska”, napisanym przez ks. prof. dra Józefa Nawrockiego, wydanym w latach 1959 i 1964 w Poznaniu w dwu tomach, z których każdy obejmuje po około 1000 stron, czytamy m.in.:

„Odbudowa katedry powinna była dokonać się w całości kosztem tych, którzy z rozmysłem ją spalili, a więc Rzeszy Niemieckiej... Roszczenia kapituły sięgały sumy 3.500.000 zł waluty przedwojennej (a więc z górą pół miliona dolarów — przyp. redakcji). Arcybiskup i kapituła zwrócili się o pomoc do władz Polskiej Rzeczypospoli-

tej Ludowej... Mienie kościelne archidiecezji poznańskiej było do tego stopnia zniszczone, że nie stać jej było na sfinansowanie dzieła.

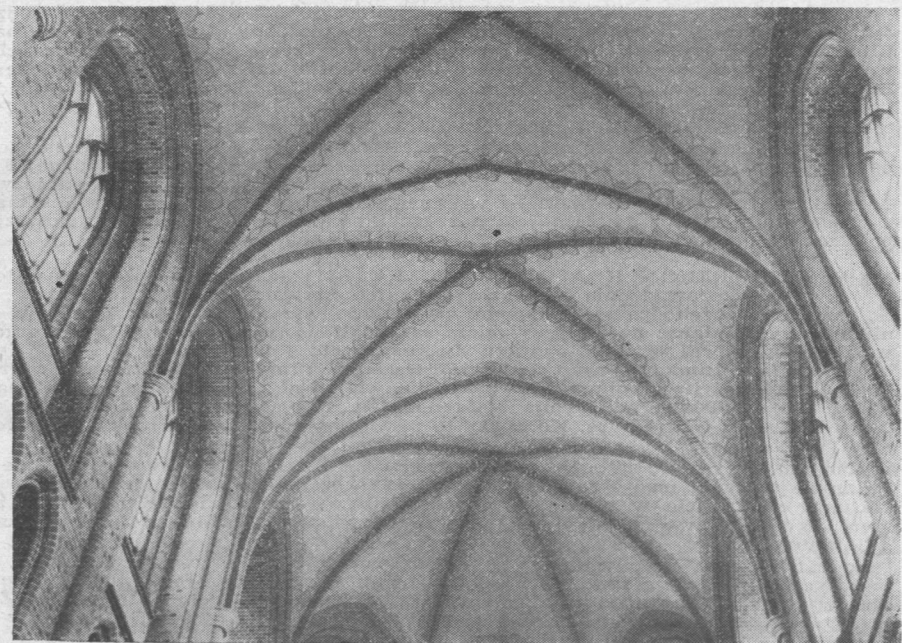
Polskie władze państwowe przychyliły się od razu życzliwie do wniesionego podania. Z funduszków Ministerstwa Odbudowy przystąpiła Poznańska Dyrekcja Odbudowy jeszcze w r. 1945 do zabezpieczenia wypalonej katedry tymczasowymi dachami. Dalsze prace, finansowane także z funduszków Ministerstwa Kultury i Sztuki, objęły pomniary świątyni oraz odkrywanie relikwów dawnej katedry gotyckiej i badania wykopaliskowe...”

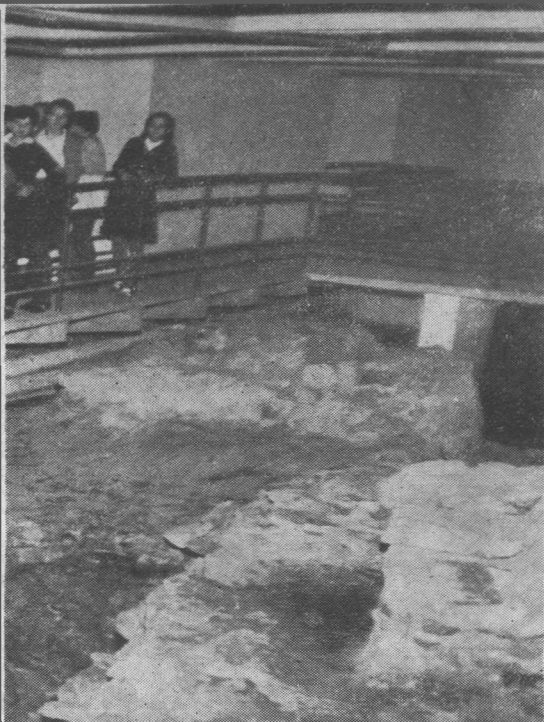
W dalszym ciągu wspomniane wy dawnictwo wymienia kwoty, jakie rząd Polski Ludowej wyasygnował na prace wokół przywrócenia świętości katedry w poszczególnych latach. Sięgają one milionów. Poważny był też udział w odbudowie katedry społeczeństwa poznańskiego i wiernych. Jest to fakt tym bardziej godny podkreślenia, że w gruzach była nie tylko katedra, ale większość Poznania, całe jego zabytkowe centrum i najcenniejsze dzielnice mieszkaniowe.

Poznań jest jednym z tych miast, które w tysiącletniej historii Polski odegrały ważną rolę państwowotwórczą, a być może właśnie tu odbył się w 966 r. akt przyjęcia chrześcijaństwa przez dwór pierwszego historycznego władcy Państwa Polskiego — Mieszka I.

A.G.

Na zdjęciu z lewej: poznański kościół katedralny po odbudowie w latach 1945—1958. Poniżej: sklepienie głównej nawy. Dawne sklepienie runęło po pożarze 15 lutego 1945 r. wzniesionym przez artyleryjskie pociski. Spłonęły wtedy wszystkie dachy, wieże, dzwony, organy, stalle i ławy. Pozostała tylko część nagich murów. Kościół swym początkiem sięga 966 r. Był najpierw kamienną bazyliką, potem świątynią w stylu romańskim, w XIV wieku przebudowany został w stylu gotyckim, a od XVII w. do 1945 r. w stylu baroku i neoklasycyzmu. Ostatnia odbudowa przywróciła świątyni w wystroju wewnętrznym wygląd gotycki z XV wieku. Na zewnątrz pozostawiono styl barokowy





Badania archeologiczne przeprowadzone po wojnie pod katedrą poznańską na koszt państwa dały wiele rewelacyjnych wyników. Odrzebrano najstarsze fundamenty, odtworzono rozmiary i charakter pierwszego kościoła katedralnego, znaleziono resztki baptysterium, czyli dawnej chrzcielnicy, oraz odkryto grobowiec Mieszka I z 992 r.



Dwaj poznańscy obywatele na tle fontanny Prozerpiny, córki mitologicznego Zeusa. Jeden z nich w meloniku nienoszonym już gdzie indziej poza Poznaniem. Fontanna zdobi Stary Rynek, założony w 1253 r. Wzniesiono ją dokładnie 200 lat temu w 1766 r. na krótko przed pierwszym rozbiorem Polski. Zabytkowe kamieniczki Rynku zostały spalone w 1945 r., ale pracownicy poznanianie odbudowali je z zachowaniem XV-wiecznego stylu. Najpiękniejszą budowlą rynku jest Ratusz (z prawej), posiadający jedno z najcenniejszych wnętrz renesansowych. Ratusz był spalony podczas ostatniej wojny



ON NE SAIT dans laquelle de ses cités Mieszko I-er accepta en l'an 966 le baptême qui faisait de lui un roi chrétien, coupait l'herbe sous le pied des empereurs allemands arguant du paganisme des Slaves pour envahir leurs terres, et faisait pénétrer la Pologne, Etat déjà puissant, dans l'arène internationale. Fut-ce Gniezno, Ostrów Lednicki, Kruszwica? La découverte — au cours des fouilles archéologiques entreprises après la guerre — d'un baptistère du X-e siècle sous la cathédrale de Poznań, ajouta un nouveau nom à la liste. Peut-être est-ce là que Mieszko I-er prit pour femme la princesse tchèque Doubravka et fut plongé dans l'eau bénite par les prêtres venus de Prague, au grand dam des évêques allemands?

A contempler aujourd'hui cette cathédrale dans toute la splendeur de son massif gothique du XIV-e siècle, de ses tours baroques ajoutées au XVII-e, de sa nef ogivale, qui pourrait croire que les Allemands l'avaient transformée en un amas de décombres fumants? La cathédrale, comme le magnifique hôtel de ville Renaissance, comme les maisons du Vieux Marché datant du XV-e siècle, ont été fidèlement reconstruits, ou plutôt reconstitués pierre par pierre pour former à nouveau une calme oasis de l'histoire dans une ville industrielle en plein essor, parée de nouveaux quartiers comptant près de 500 mille habitants, près de deux fois plus qu'en 1939.

Jedna z płyt nagrobkowych odkryta przy pracach renowacyjnych, prawdopodobnie któregoś z kanoników miejscowej kapituły z XV wieku. Dzieło jest dużej wartości. W kamiennej płycie widnieje obraz utworzony z brązowych wkładek. Ma on jedyny swój odpowiednik na zachodzie, w płycie paryskiego kanonika — Jana z XIV wieku



Ostatnie 20 lat w tysiącletniej historii Poznania to okres szczególnie bogaty w wydarzenia. Miasto zostało nie tylko podniesione ze zgliszcz wojennych i wyleczyło rany, jakie mu zadały działania wojenne w 1945 r., odbudowało swe najcenniejsze zabytki zarówno sakralne jak i świeckie, ale ponadto poważnie się rozrosło. Przybyły nowe zakłady produkcyjne, placówki kulturalne i społeczne, nowe dzielnice mieszkaniowe. Na zdjęciu u góry: fragment jednego z kilku nowych osiedli mieszkaniowych. Nosi nazwę „Grunwald”. Dzięki rozbudowie przemysłu i miasta Poznań liczy dzisiaj prawie pół miliona mieszkańców i pod tym względem jest piątym miastem w Polsce po Warszawie, Łodzi, Krakowie i Wrocławiu. Do 1939 roku Poznań miał około 250 tysięcy mieszkańców. Poniżej z lewej: odbudowany po wojennym pożarze gmach Biblioteki Raczyńskich, mieszczący cenne zbiory piśmiennictwa i poznańskie placówki naukowe; z prawej — ulica Ratajczaka w centrum miasta w wieczornym oświetleniu licznych neonów i reklam



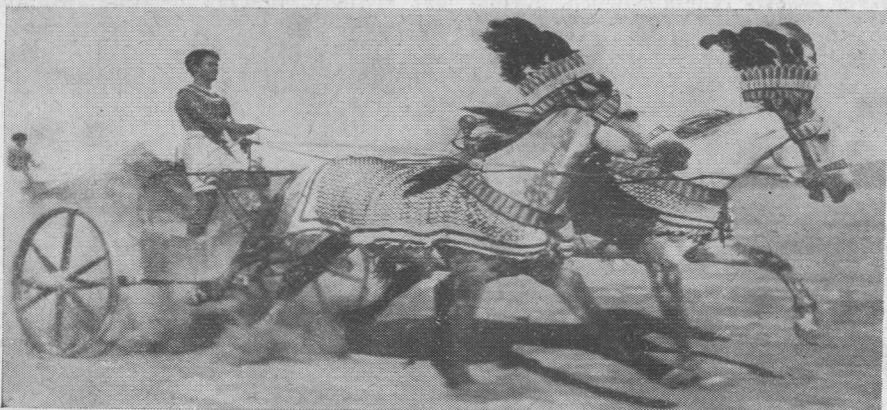


TROIS ANS de prise de vues et de montage, le cinémascope et les couleurs, 50 acteurs et 3.000 figurants, de monumentaux décors, palais et temples, élevés dans le désert de Kyzyl-Kum, des milliers de costumes et d'accessoires — telles sont sommairement les caractéristiques techniques du nouveau film de Jerzy Kawalerowicz, **LE PHARAON**. A lire ces données, on pourrait croire qu'il s'agit d'une superproduction comme tant d'autres, d'un grand spectacle pseudo-historique où tout concourt à ne susciter chez le spectateur que des sensations plus ou moins profondes. Il n'en est rien. Film réalisé avec un grand déploiement de moyens, il est pourtant dépouillé de tout ornement superflu, il trahit une recherche consciente de la sobriété, de la beauté pure, de l'authenticité historique stylisée cependant dans les couleurs et les personnages pour créer ce certain recul nécessaire à la réflexion. Drame du pouvoir, l'histoire du conflit de deux conceptions politiques antagonistes représentées par le jeune pharaon et le grand-prêtre, ce film possède de hautes valeurs artistiques et intellectuelles. **LE PHARAON** représentera la Pologne au Festival International de Cannes.



W Egipcie panują wszechwładnie kapłani, wykorzystując słabość i chorobę starego faraona. Oni też decydują o losie każdej sprawy państwa i narodu

FARAON



Podczas manewrów dochodzi do kłótni między dowodzącym wojskiem młodym następcą tronu Ramzesem a ministrem wojny i arcykapłanem Herhor. Zachowanie niepoohamowanego i energicznego Ramzesa niepokoi doświadczonego i kierującego postępowaniem starego faraona arcykapłana. Ramzes nie kryje zamiarów zdławienia wpływów kapłanów. Dni jego ojca są policzone i on wstąpić ma na tron faraonów. Chce zaprowadzić nowy ład w państwie



NA ROZPALONYM PIASKU pustyni walczą dwa skarabeusze, święte wizerunki boga Słońca — Amona. Wstrzymuje to pochód armii młodego Ramzesa, następcy tronu. Towarzyszący księciu arcykapłan Herhor, zarazem minister wojny, nakazuje żołnierzom zejść z drogi, aby ominąć żuki. Wykonując rozkaz wojsko niszczy kanał, owoc pracy całego życia ubożego fellacha. Ramzes na próżno stara się przeciwstawić kapłanowi. Oto pierwsze obrazy wielkiego dramatu historycznego „Faraon”, zrealizowanego według dzieła Bolesława Prusa przez znanego reżysera Jerzego Kawalerowicza.

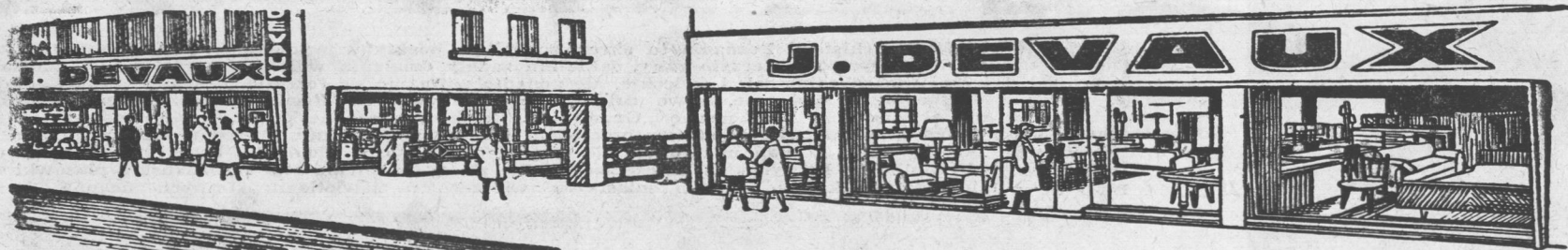
Rodzi się konflikt następcy tronu, a niebawem faraona Ramzesa XIII z arcykapłanem Herhorem. Nie jest to tylko starcie dwóch wybitnych indywidualności, ale starcie dwóch sił, dwóch koncepcji politycznych. Na tym tle film ukazuje bogactwo zwalczających się racji i postaci. Herhor uosabia trwający od wieków ustrój o ustalonej strukturze władzy i stosunków społecznych. Młody Ramzes rozumie potrzebę zmian, a nade wszystko ograniczenia wszechwładzy kapłanów. Następcą tronu jest jednak zbyt młody, niedoświadczony i gwałtowny, nie docenia potęgi organizacji kapłaństwa, która ma pieniądze i wykorzystuje nieświadomość mas. Po śmierci ojca i wstąpieniu na tron Ramzes XIII rozporządza tylko siłą wojskową i może się odwołać tylko do poczucia krzywdy u ludu. To nie wystarczy, gdy lud nie wyzwolony jest z lęku przed bogami i nie potrafi swego gniewu przemienić w skuteczny bunt.

Walce Ramzesa XIII z Herhorem towarzyszą spiski, intrygi, ludzkie namiętności, dramatyczne wątki osobistych przeżyć, rozkoszy i goryczy młodego władcy. W rezultacie Ramzes XIII przegrywa i ginie zamordowany skrytobójczo. Na tron faraonów wstępuje arcykapłan Herhor, dając początek nowej dynastii władców Egiptu.

Trzy lata trwała realizacja barwnego, panoramicznego filmu Kawalerowicza. Jest to największe dotychczasowe przedsięwzięcie polskiej kinematografii. Sceny do filmu realizowano w Egipcie u stóp piramid, na pustyni Kyzyl-Kum w Uzbekistanie i wreszcie w atelier w Łodzi i na Jeziorach Mazurskich. W filmie występuje 50 aktorów i 3 tysiące statystów. Większość scen masowych, manewry, bitwy, zgromadzenia ludowe przed pałacem faraona czy świątyniami filmowano na pustyni Kyzyl-Kum. Trzy czwarte filmu rozgrywa się na rozległych przestrzeniach i przy udziale wielkiej liczby statystów, film nie jest jednak widowiskowy, lecz refleksyjny, psychologiczny.

„Faraon” Kawalerowicza nie jest jeszcze jednym superfilmem kinematografii światowej, nie jest to hłaśliwe widowisko pseudohistoryczne, pełne pogoni, zabójstw, sensacji. Film ten zajmie niewątpliwie wysoką pozycję w grupie wielkich filmowych dramatów o dużych ambicjach artystycznych i intelektualnych. Wyróżniają go również historyczne wartości. Wspaniałe dekoracje trudno odróżnić od autentycznych świątyni, a piękne wystylizowane postacie kapłanów, bojowników, kobiet i samego Ramzesa wyglądają jak ożywione rzeźby staroegipskie. Specjalnym walorem filmu jest jego kolorystyka, utrzymana w jednolitej tonacji z dominującą barwą piasku. Szarozłoty, złotozłoty, brunatnozłoty kolor kształtuje wygląd architektury, ludzi, pejzażu. Z filmu wyeliminowano niemal zupełnie barwy jaskrawe. Wspaniałe efekty barwne kulminacyjnej sceny zaćmienia słońca osiągnięto przez zastosowanie skomplikowanej techniki zdjęć kombinowanych.

Prezentujemy pierwszy zestaw zdjęć z filmu „Faraon”. Film ten zgłoszony został przez Polskę na tegoroczny Międzynarodowy Festiwal Filmowy w Cannes.



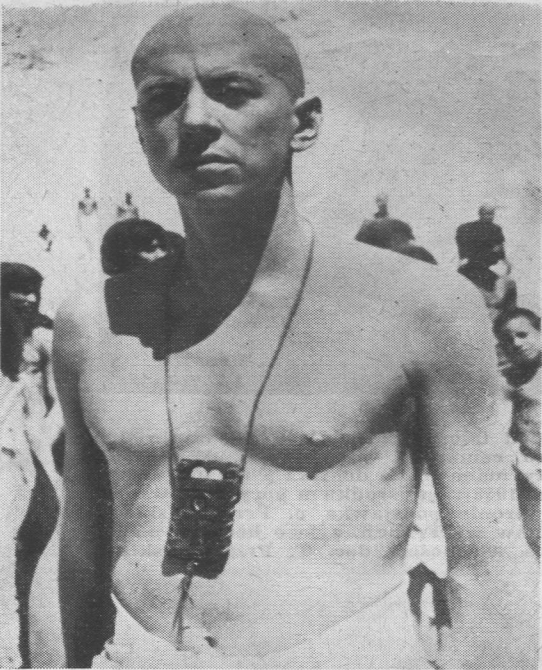
DWA OBSZERNE NOWOCZESNE MAGAZYNY gwarantują Wam nie spotykany dotąd wybór wszystkiego, co dotyczy komfortowego WYPOSAŻENIA MIESZKANIA I GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

KWIECIEŃ! Pomyślcie o zakupie **LODÓWKI**.

NASZE ceny są bezkonkurencyjne, gwarancja na 5 lat. **LODÓWKI** posiadają ładny, estetyczny wygląd, znak wysokiej jakości. Zapewniamy, że z zakupu będziecie zadowoleni.

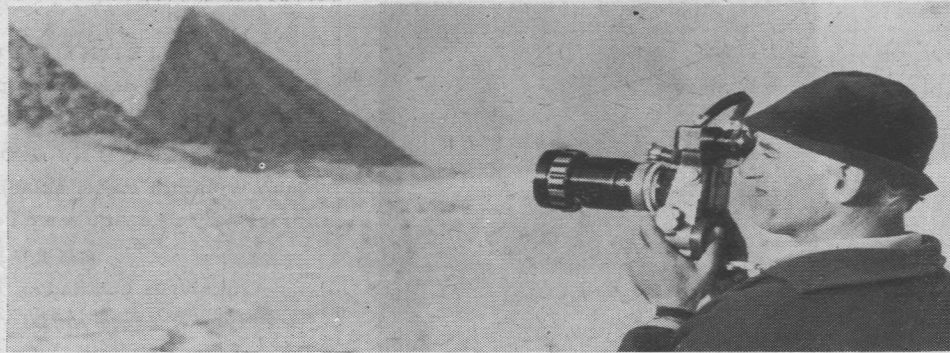
LODÓWKI:	120 litrów	143 litry	150 litrów	175 litrów	240 litrów
	495 fr.	595 fr.	620 fr.	675 fr.	810 fr.

ETS. JACQUES DEVAUX — 2-bis, rue Pasteur (obok fosse 2-bis) MARLES-LES-MINES — tel: 10



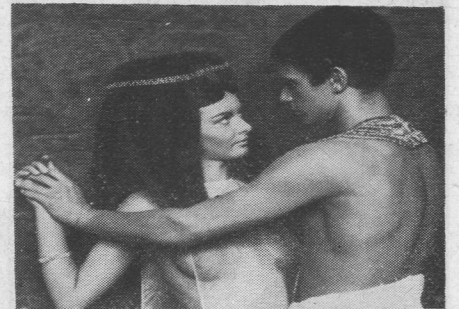
*Je suis en France pour
deux semaines
"Tygodnik Polowy"
Dawalerowicz*

Znany i ceniony we Francji twórca filmu „FARAON”, reżyser Jerzy Kawalerowicz (z prawej) pozdrawia Czytelników „Tygodnika”

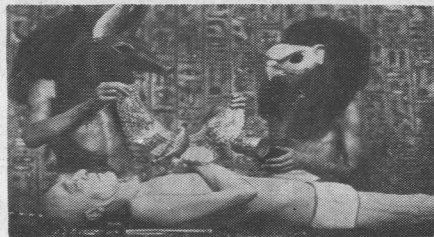


Kapłani przygotowują tajny układ z Asyrią, odstępujący jej Fenicję podległą Egiptowi. Ramzes myśli natomiast o wojnie, która wzbogaciłaby skarb państwa i uniezależniła go od kapłanów. Opanowany namiętnością do podsuniętej mu przez Fenicjan Kamy, kapłanki bogini Astoreth, Ramzes staje się bardziej gwałtowny. Na skutek intryg Kamy wypędza z pałacu Sarę, która ginie zamordowana z dzieckiem

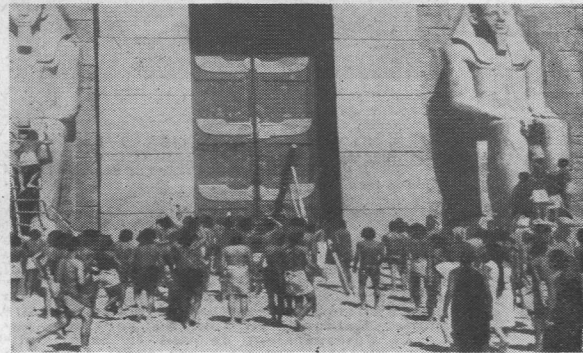
Wskutek raportu Herhora sędziwy faraon uznaje, że młody Ramzes nie dojrzał do objęcia dowództwa armii mimo odwagi i talentu wojskowego



Herhor bacznie śledzi reakcję Ramzesa

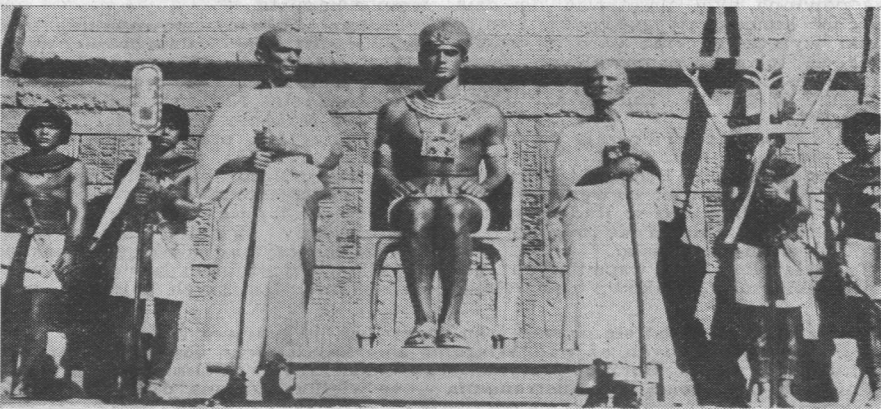


Sędziwy faraon Ramzes XII umiera. Jego ciało zgodnie z obrządkiem zostaje zabalsamowane i złożone do grobowca. Na tron wstępuje młody Ramzes XIII. Ogranicza władzę kapłanów i wprowadza nowe porządki. Poznaje tajniki rządzenia, bezgraniczną nędzę i ucisk ludu, źródła zysków i przyczyny strat państwa. Nie mogąc złamać oporu przeciwstawiających mu się kapłanów w drodze referendum, zamierza uwięzić Herhora i przedstawiając dowody jego zdrady wobec państwa — osądzić. Kapłani przygotowują odwet



Następca tronu rozgniewany swą bezsilnością oddaje się uciechom z przypadkową poznaną piękną Żydówką Sarą, którą zabiera do własnego pałacu

Wzburzony lud kieruje swój gniew przeciw świątyniom, ale zrezygnowana intryga kapłanów prowokuje zamieszki w znanym tylko kapłanom momencie zaćmienia słońca. Lud przerażony zaćmieniem przyjmuje z pokorą wolę kapłanów. Ginie skrytobójczo zamordowany Ramzes. Tron faraonów zajmie Herhor



SPRZĘT
UŻYTKU
DOMOWEGO

VINGT
POUR
CENT 20%

- ◆ Aparaty elektryczne
- ◆ Radioodbiorniki
- ◆ Telewizory
(najlepszy odbiór)
„Hi-Fi”

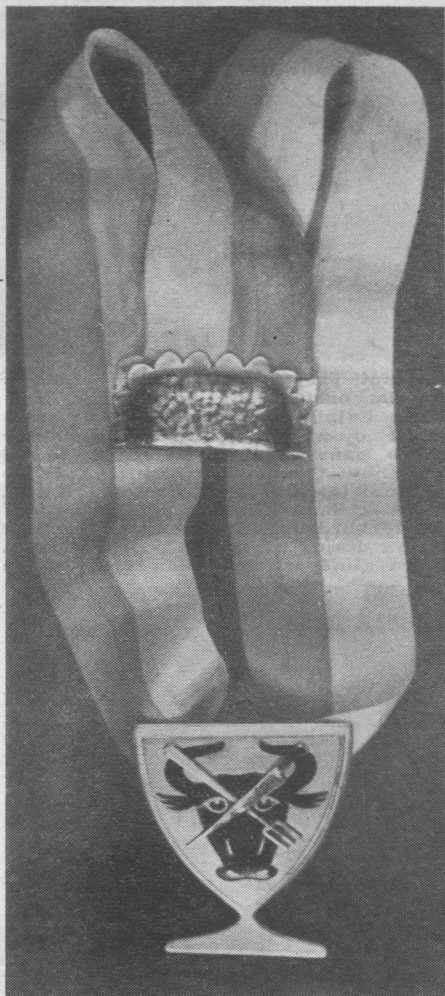
OSZCZĘDNOŚĆ — PEWNOŚĆ

Wszystkie najlepsze marki po najniższej cenie

IP 7, rue de la Cuve d'Or
VINCOURT MENAGER

DOUAI

122, Place d'Armes
VINCOURT ELECTRONIQUE



JEDNOGŁOSNIE

postanowiono dążyć do przywrócenia dawnej sławy

KUCHNI POLSKIEJ

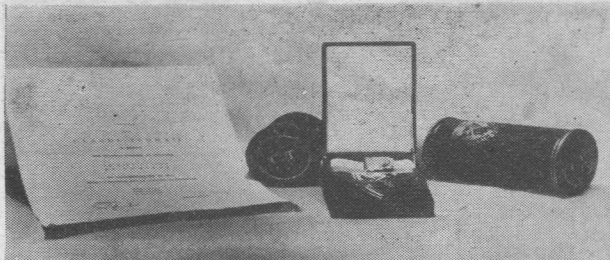
jako wybitnej części składowej polskiej kultury, przez sprecyzowanie jej pojęcia jako

SZTUKI

na naukowym podkładzie empirycznym czy badawczym w przeciwieństwie do dotychczasowego jej traktowania jako zbiurokratyzowanego rzemiosła i przemysłu, co doprowadziło do jej tak powszechnie dyskutowanego upadku.

Jest to zadaniem głównym Kapituły Orderu Pomiana.

Order Pomiana-Pożerskiego na razie zdobi szyje członków Kapituły oraz kilku nagrodzonych działaczy gastronomicznych w Kraju i za granicą. Miejmy nadzieję, że niedługo zawisnie na witrzynach barów i restauracji, świadcząc o polepszeniu polskiej kuchni. Poniżej — insygnia orderu nadane wraz z dyplomem panu Claude Terrail z paryskiej Tour d'Argent



Ceramiczne podstawki pod talerze ułatwiają splanowanie tłuszczu, mogą być bardzo cenionymi pamiątkami. W środku u dołu — podstawka otrzymana przez doktora Pomiana-Pożerskiego od beja Tunisu w 1958 r., w środku u góry jego własna podstawka; po prawej stronie podstawka p. Przegalińskiego, prezesa polskich bibliofilów we Francji, z jego herbem, po lewej zaś podobna będąca własnością doc. T. Przytkowskiego



LA CUISINE POLONAISE a bonne réputation et ses spécialités sont dignes de figurer sur les tables des plus fins gourmets. Avant-guerre, des restaurants comme Simon et Stecki, Bristol, Europejski à Varsovie, Hawełka et Francuski à Cracovie, Wierzbicki à Radom, auraient peut-être mérité des étoiles dans le Guide Michelin. Qu'en serait-il aujourd'hui? Les chefs de Wierzynek à Cracovie, du Bristol à Varsovie ou du Merkury à Poznań trouveraient-ils quelque grâce aux yeux ou plutôt aux palais des inspecteurs du célèbre guide? Quoiqu'il en soit, les gourmets polonais désespéreraient de voir le recul culinaire du pays qui pourtant avait donné au monde le dr de Pomiane et le célèbre Babinski, auteur de la „Gastronomie Pratique” dont la réputation n'est plus à faire... en France, patrie de la fine cuisine. Aussi, une très attachante et originale personnalité polonaise, le dr Tadeusz Przytkowski (qui entre autres qualités est le conservateur du musée de cadrans solaires, le plus riche du monde, qu'il a lui-même offert à la nation) a décidé de fonder l'Ordre de Pomian-Pożerski qui sera décerné aux bons restaurants. Il a su acquiescer à son projet le ministre de la culture, M. Lucjan Motyka et plusieurs autres personnalités, faire approuver les statuts de l'Ordre, élire son Chapitre et même décerner déjà cette précieuse décoration: tête de bélier, couvert croisé — sur un écu en forme de verre à vin. Mais pour ce faire, il a dû se rendre à ...Paris. Et c'est Claude Terrail de „La Tour d'Argent” qui en est un des premiers dignitaires. Espérons quand-même trouver bientôt ce pannonceau en Pologne même.

ORDER POMIANA

POLSKA OD WIEKÓW SŁY-NEŁA z kilku rzeczy doskonałych — ciężkiej jazdy, zwanej husarią, warszawskich szewców, miodów pitnych i... kuchni. Trzy pierwsze pozycje wyparte zostały przez konie mechaniczne, fabryki obuwia i gorzelnie, czwarta zaś powinna była przetrwać do dziś, bo choć koncentraty spożywcze i mrożonki wyręczają coraz bardziej kobiece ręce, to jednak, nawet gdy świat przejdzie na żywienie się pigułkami, jedzenie z garnka smakować będzie najlepiej.

Przed wojną potwierdzały to doskonałe kuchnie restauracji Simona i Steckiego, hotelu Bristol i Europejskiego w Warszawie, Hawełki w Krakowie, Wierzbickiego w Radomiu, których sława rozciągała się szeroko poza granice kraju nad Wisłą.

Tu była kolebka wspaniałych potraw, bigosów, flaków, czerwonego

barszczu z uszkami, kulebiaków, kołdunów, smakołyków z grzybami, kaszanek, najprzeróżniejszych kiebas, które przetrwały, a jakże — do dziś, ale... tylko w prywatnych domach lub w wykwinnych restauracjach. Przytłaczająca większość polskich restauracji oparła swoje menu na kotleciku schabowym z kapustą.

Poziom obecnej, powojennej polskiej kuchni nie wzbudza zachwytów i jest sprawą dosyć powszechnie dyskutowaną. Mówi się o gastronomicznym kryzysie. Nie, żeby nie było co jeść, ale jedzenie jest raczej kiepskie, a organizacja i obsługa pozostawiają wiele do życzenia. Smutne to — ale prawdziwe. Naturalnie nie mówi się tu o jadołospisach polskich reprezentacyjnych restauracji — warszawskiego Grandu czy Bristolu, krakowskiego Wierzyńki czy poznańskiego Merkurego. Chodzi o problem szerszy, o tysiące restauracji niższych kategorii, przez

które każdego dnia przewija się kilka milionów ludzi, spragnionych taniego i smacznego, czysto podanego posiłku.

Niestety — gastronomia polska nie jest tak elastycznym organizmem, aby mogła dokonać potrzebnych zmian z dnia na dzień, tym bardziej że przez kilkanaście lat sprawy smacznej kuchni i zawartości talerza tonęły w olbrzymiej powodzi papierkowych zarządzeń, ustalających, ile to też gramów masła użyć trzeba na usmażenie befsztyka.

Kraj, którego kuchnia należała do lepszych w Europie, który wydał takich znanych w świecie mistrzów gastronomii, jak: dr Pomian-Pożerski czy sławny Ali-Bab Babiński, którego półtora tysiąca stron licząca książka „Gastronomie pratique” doczekała się kilkunastu wydań — ten kraj chce przywrócić blask własnego kuchennego rondla i zadziwiać smakiem przyrządzanych potraw zarówno własnych obywateli, jak i gości z zagranicy.

Starania o poprawę podejmowane są z różnych stron przez różne instytucje, grupy ludzi, słowem przez wszystkich, którym jest droga sprawa żołądka i racjonalnego żywienia. Od pewnego czasu działa w Warszawie grono osób, które chcą zmienić istniejący stan w sposób dosyć oryginalny, wybitnie nieurzędowy, a więc bez okólników czy zarządzeń. Jest to grono koneserów jada, ludzi o „jedwabnym podniebieniu”.

Inicjatorem był tu znany oryginał polski, potomek wielkiej rodziny, kustosz własnego muzeum w Jędrzejowie, sławnego w świecie z pięknych zbiorów zegarów słonecznych, exlibrisów i ...ekspozatów gastronomicznych — słowem docent Tadeusz Przytkowski.

On to rok temu — 28.I.1965 — w pierwszą rocznicę śmierci nieodżałowanego dr Pomiana-Pożerskiego, wystąpił z wnioskiem powołania Kapituły Orderu imienia sławnego mistrza. Pod sztandary Przytkowskiego ścignęli wszyscy, którym droga jest sprawa dobrego jedzenia.

*

DZIŚ, PO PRZESZŁO ROKU działania Kapituły, widzimy w jej szeregach specjalistów z naukowych instytucji żywienia, ministrów, literatów i działaczy gospodarczych.

Profesor Gronowski, pan domu i Wielki Mistrz Kapituły, dał się poznać jako specjalista od nalewek zadziwiając gości wyborem smakiem swej „poziomkówki” — na owocach leśnych aż nad Wigrami zbieranych, oraz napoju z czarnych porzeczek. Członkowie Kapituły — minister kultury i sztuki Lucjan Motyka oraz podsekretarz Stanu Z. Garstecki (z prawej i lewej) jak widać z min — w pełni podzielają pogląd, że gastronomia — to wielka i uznana dziedzina sztuki



Kancelarz Kapituły, docent Tadeusz Przypkowski, w czasie swego pobytu w Paryżu w październiku 1965 r. wręczył insygnia Orderu Pomiana czolowym mistrzom gastronomii paryskiej. Stoją od lewej: Jean-Dominique Arnaboldi, prezes światowego Stowarzyszenia Prasy Gastronomicznej, naczelny redaktor „Bien vivre”, członek-założyciel Akademii Sztuki Życia; Claude Terrail — właściciel „Tour d'Argent” założonej w 1589 r. za czasów króla Polski i Francji Henryka Walezego; państwo Rogerowie Topolińscy (pan Roger jest prezesem Związku Restauratorów Paryża, właścicielem „Lapérouse”, potomkiem kucharza króla Stanisława Leszczyńskiego) oraz kancelarz docent Tadeusz Przypkowski



Gospodyni przyjęcia pani prof. Gronowska (siedzi) jest znaną specjalistką od potraw z ryb morskich. Pod jej to batutą gosposia wyczarowała przed oczyma (i podniebieniami) członków Kapituły prawdziwe arcydzieła kuchni

ZDJĘCIA: R. DUTKIEWICZ
TEKST: C. CHLEBOWSKI

Sam docent Przypkowski jest kancelerzem Kapituły, zaś stanowisko Wielkiego Mistrza powierzono doskonałemu grafikowi warszawskiemu, prezesowi Związku Artystów Plastyków w Polsce, autorowi wielu znanych plakatów i ...receptur na własne potrawy, słowem profesorowi Gronowskiemu.

Jakie są cele tego grona i jakimi drogami chcą działać? Trudno to ująć w jednym zdaniu. Przede wszystkim inicjator i kancelarz Kapituły doc. Przypkowski widzi jako najbliższe zadania stowarzyszenia podniesienie rangi spraw kulinarnych i to w sposób oficjalny i uznany. Chce to osiągnąć przez... zaliczenie gastronomii do dziedzin sztuki. Członkowie Kapituły na ostatnim swym posiedzeniu Wielkiego Mistrza prof. Gronowskiego uchwalili odpowiednią rezolucję, której nawet nadano drukowaną formę. Następnym etapem będzie zrzeszenie ludzi doskonale umiających operować rondlami w jedną organizację, podjęcie starań o uznanie przez ministerstwo kultury tego związku jako związku twórczego na równi z fotografikami, m.in. przyznanie im ulg podatkowych itd.

Znany erudyta doc. Tadeusz Przypkowski nie musiał się specjalnie wysilać na posiedzeniu Kapituły zwołanym u Wielkiego Mistrza w drugą rocznicę śmierci Pomiana — 26.1.66., aby przekonać jej członków o słuszności działania stowarzyszenia. Pomogła mu przy tym jego własna inicjatywa gastronomiczna wyrażona w postaci podanej „zupy przypkowskiej — cebulowej”, i „jarzyn po gronowsku”, sporządzonych według specjalnej receptury pana domu



Naturalnie przewiduje się również odpowiednie bodźce dla zakładów obecnie istniejących. Nadawany im za wybitne umiejętności kulinarne Order Pomiana, wywieszany na widocznym miejscu, będzie widocznym znakiem, że tu można zjeść dobrze. Ta forma premiowania wybitnych znawców kuchni już ma swój międzynarodowy zasięg, o czym świadczy choćby ostatnia październikowa wizyta kancelarza Kapituły w Paryżu i nadane tam „Pomiany”. Aczkolwiek forma powołania do życia i działania Kapituły Orderu Pomiana jest w Polsce całkowicie nowa i dosyć eksperymentalna, kto wie — czy nie będzie to skuteczna droga do osiągnięcia zamierzonych celów. Wszak za granicą — co prawda w nieco innych systemach gospodarczych — ten właśnie sposób zdaje doskonale egzamin.

Nie wypada więc nic innego jak tylko ludziom, którzy mają w swym herbie pomianowski woli łeb i skrzyżowane sztucze — życzyć powodzenia, gdyż ich osiągnięcia odbijają się korzystnie w formie jakże miłej dla każdego z nas, w formie smacznego i zdrowego jedzenia.

JAK WOJCIECH BRYCZEK Z KOLBUSZOWEJ ZOSTAŁ ZNANYM BURGUNDZKIM WINIARZEM

WYJAZD Z POLSKI podobny do tysięcy innych. Przeludnienie wsi, brak pracy, bieda. Nie było innego wyjścia, należało zdecydować się na emigrację. Wojciech Bryczek spakował manatki (niewiele ich zresztą miał) i opuścił rodzinną wieś Kolbuszową. Gdy przybył do Francji, skierowano go na fermę do departamentu Aveyron. Zaczął pracować i myślał nawet, że w życiu jego nastąpi teraz okres spokoju. Był to rok 1938.

Spokój nie trwał długo. We wrześniu następnego roku wybuchła wojna i Wojciech Bryczek zaciągnął się ochotniczo do polskiej armii. Wcielony został do I Dywizji i w czasie napadu niemieckiego na Francję bił się w Lotaryngii. Gdy wzięto go do niewoli, najpierw do obozu w okolicach Strasburga, a potem do innego, już na terenie Niemiec, nie zrezygnował ani na chwilę z próby odzyskania wolności. Czekał tylko na sposobną chwilę. Niestety, czekać trzeba było długo, sytuacja nie sprzyjała. Ale pan Wojciech był uparty i nie rezygnował z urzeczywistnienia swych planów. No i wreszcie po półtorarocznym okresie

zaparcia pracy, dom ten jest jednym z najładniejszych w Morey-Saint-Denis i stanowi prawdziwą ozdobę wioski.

I w ten sposób Bryczek pracuje dalej. Spokojnie, bez rozgłosu, a z uporem i konsekwencją, które mogłyby być stawiane za przykład innym ludziom, osiąga zamierzone cele. Dzisiaj gospodarstwo pana Wojciecha nabrało poważnych rozmiarów, sąsiedzi mówią o nim jako o dobrym fachowcu — winiarzu (trudne do wymówienia imię Wojciech zamienili na — Georges), a hurtownicy wykupują wino z etykietą: „Morey-Saint-Denis, appellation



Anne-Marie i Edward szykują się na następców rodziców na tym gospodarstwie

oczekiwania, korzystając z chwili nieuwagi strażników — uciekł.

Ryzyko było bardzo duże, trasa powrotu — daleka, a p. Bryczek przy tym nie znał języka francuskiego. A jednak udało się. Przemaszerował przed frontem straży granicznych, jak gdyby to było najbardziej legalne w świecie przekroczenie granicy, i znów znalazł się we Francji. Tutaj napotykał p. Bryczek nowe trudności i niebezpieczeństwa. Na terenie przygranicznym pełno wojska niemieckiego, kontrole na drogach były częste. Ale znajdował również i pomoc. Ludność francuska starała się bardzo serdecznie pomagać wszystkim uciekinierom z obozów, ukrywała ich, chętnie udzielała noclegów i żywności. A wśród Francuzów byli i Polacy. Od nich również doznał pan Bryczek nieraz pomocy.

Losy rzuciły go wreszcie do Burgundii. Tutaj poznał się ze swą obecną żoną, która przywędrowała podobnie jak i on z Polski, ze wsi podreszowskiej, w poszukiwaniu pracy. Pobrali się. Potem urodził się Edward, Anne-Marie i Bryczkowie pozostali w Burgundii już na stałe.

TAK JAK W NIEWOLI, tak samo i przy pracy okazuje pan Wojciech Bryczek niezwykłą wytrwałość i upór. Pracuje w winnicach znanych, doskonałych specjalistów, plantatorów i producentów znakomitego burgundzkiego wina. Zdobywa umiejętności z tej dziedziny i — jednocześnie — oszczędza, odkłada zarobione pieniądze. Pragnie osiągnąć niezależność i posiadać kawałek własnej ziemi.

W 1947 roku przyjeżdża do Morey-Saint-Denis i przez cztery lata pracuje w winnicy p. Alberta Rameau. Wreszcie udało mu się zdobyć na kupno pierwszych „ouvres” winnicy. Trafia się również dom, na wół zrujnowany, który wystawiony zostaje na sprzedaż za 90.000 dawnych franków. Bryczkowie kupują go. Dzisiaj, po latach pełnej samo-

contrôlée, Georges Bryczek, viticulteur à Morey-Saint-Denis (Côte d'Or)” w każdej ilości. Dodać należy, że w tym samym czasie u innych plantatorów pozostawały w piwnicach hektolitry nie sprzedanego wina.

*

Ostatnio, gdy p. Bryczek nabywał na licytacji kawałek winnicy, zwrócili nań uwagę wszyscy winiarze z okolicy. Zdumienie wywołuje ten człowiek skromny, prosty, o tak niezwykłym dynamizmie. Przyjechali nawet dziennikarze z Dijon, aby zobaczyć z bliska tego gospodarza, który sięga po najlepsze, najbardziej słoneczne stoki burgundzkich wzgórz. P. Bryczek przyjął ich bardzo życzliwie i gościnnie. Przedstawił im całą rodzinę, z którą ciężko pracując dorobił się własnej winnicy. I w czasie rozmowy z dziennikarzami znalazł okazję, żeby powiedzieć zdanie, które potem obiegło całą lokalną prasę:

„Ojczyzną moją jest Polska, natomiast drugą ojczyzną stała się Francja. La France c'est ma belle-mère. Tutaj znalazłem spokój i zadowolenie w pracy”.



Piwnica pana Wojciecha. Stąd rozchodzi się jeden z najlepszych burgundów z nazwiskiem: „Georges Bryczek” na etykiecie



Odpusty mają w Polsce wielowiekową tradycję, sięgają czasów pogańskich. Jak wiele innych ludowych obrzędów chrześcijaństwo przystosowało je później do swoich potrzeb. Zmieniły się tylko szczegóły odpustowych pozakościelnych atrakcji. Któż z nas, starych emigrantów, niezależnie od tego, pod jaką szerokością geograficzną mieszka, nie wywołał z Polski wspomnień z odpustowych zabaw. Zdjęcia z odpustu w Licheniu dają pewne wyobrażenie o zmianach, jakie zachodzą na polskiej wsi

ODPUST

LICHEN jest małą parafialną wioską, jakich w Polsce można liczyć na tysiące. Położony w konińskim powiecie, na pograniczu dwóch województw — poznańskiego i łódzkiego, prowadzi żywot przeciętnej polskiej wsi. Ma swoje dni powszednie, ma również te „od wielkiego dzwonu”. Raz do roku jest takim dniem tradycyjny odpust. Wtedy Licheń staje się przedmiotem szerokiego zainteresowania. Pod kościół wyrzylający wieżę z gęstej kępy drzew zjeżdżają tego dnia z bliższych i dalszych okolic, ba, z całego powiatu, tysiące, dziesiątki tysięcy ludzi. Jedni są tu już rano, aby uczestniczyć w mszy, ale przeważnie tłum zbiera się dopiero koło południa, gdy kramy odpustowe pokażą całą gamę swych tanich „bogactw”. Tradycja licheńskiego odpustu sięga ponad trzydziestu lat, tylu, ile liczy sobie miejscowy kościół. I nic nie było w stanie jej zmienić. Inaczej wyglądają tylko ludzie uczestniczący w tym ludowym misterium. Już nikt nie przychodzi dziś — tak jak dawniej — pieszo i na bosaka, z jedyną parą butów w rękę, wkładając ją tuż przed kościelną bramą. Na łące zamienionej na parking stoją rzędami konne wozy i bryczki — ale jest ich już znacznie mniej — to wieś wczorajsza. Setkami ustawione są rowery i motocykle — to wieś lat pięćdziesiątych. Niezłe jest już reprezentowana wieś jutrzejsza, bo kilkudziesięcioma prywatnymi samochodami.

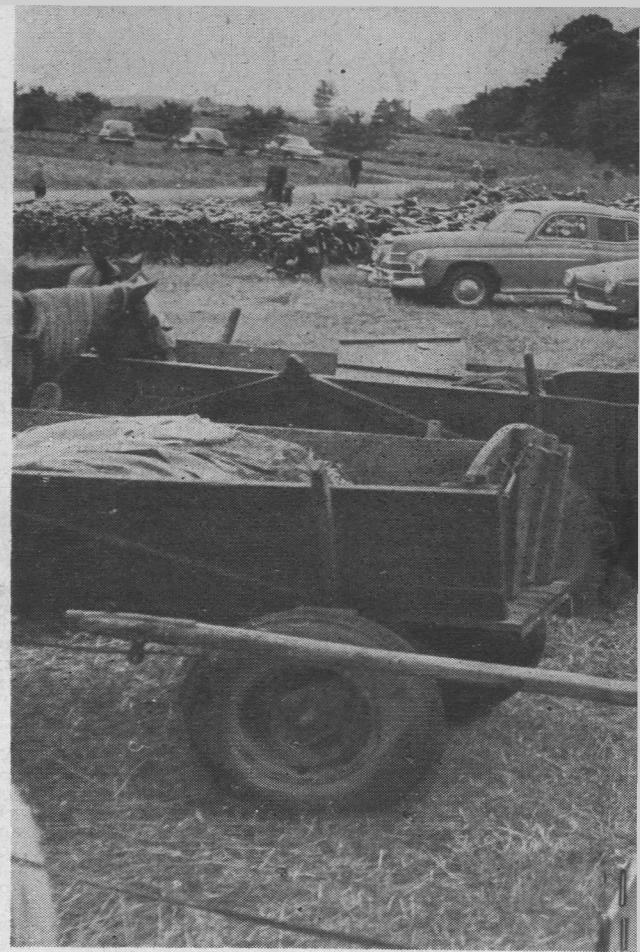
A mimo to, mimo różnic między tymi ludźmi, którzy przyjechali tu furą, i tymi, co stawili się rowerem, motocyklem czy samochodem, gdy zmieszają

się w jeden wielki tłum i cisną się do karuzel i kramów, nie poznasz, kto jest kim — wszyscy znaleźli wspólny sentyment do ludowej tradycji, wszyscy odnaleźli w sobie urok dziecięcych lat i wzruszenia z pierwszego odpustu. Dziewczyna z samochodu z tym samym uczuciem wybiera tandetny pierścionek za kilka złotych, co jej sąsiadka, która przypedałowała tu na rowerze. Panią magister z miasta, ale tu w chłopskiej rodzinie urodzoną, i wiejską dziewczynę łączy stara ludowa tradycja pierścionka odpustowego, który przynosi szczęście... Choć dziś w tę moc już nie wierzą, to nie odmawiają sobie tej drobnej przyjemności.

Ludzie spod licheńskich wsi, którzy po ukończonych szkołach pełnią dziś odpowiedzialne funkcje w przemyśle, handlu, administracji, instytucjach naukowych — w tym dniu jak przed trzydziestu laty rzucają szmaciankami w piramidki starych puszek, panie dyrektorowe popiskują, gdy siedzenia karuzeli zbyt wysoko wyniosą je kolistym zamachem w górę, a niejeden stateczny, poważny gospodarz próbuje szczęścia na obrotowym kole, gdzie za jedne dwa złote można wygrać gipsowego bociana, czy potworną karykaturę Zorro na koniu. Na tym ludowym święcie wszystkim przypominają się czasy młodości.

Odpustowe jarmarki przetrwały w Polsce wszystkie kataklizmy i dziejowe zmiany. Za czasów okupacji były oczywiście zakazane. Po wojnie wrócono do tradycji. Nic nie wskazuje, by przynajmniej przez najbliższych kilkadziesiąt lat zagrażała im śmierć naturalna. A więc zapraszamy na odpust.

LES PARDONS bretons sont célèbres. Moins de gens connaissent une coutume polonaise tout aussi vieille, d'origine même payenne, qui veut qu'une fois par an, dans chaque paroisse rurale, la messe dominicale soit suivie d'une grande fête populaire en plein air, nommée elle-aussi pardon (odpust). Et le jour dit, le bourg attire tous les habitants du pays, venus certes pour assister à la messe, mais surtout pour participer à la kermesse avec ses boutiques foraines, ses manèges, ses diverses attractions. Evidemment, parquées en retrait de la fête, il y a aujourd'hui presque autant d'autos et de motos que de charrettes; les gens venus ici ne sont plus les habitants d'une campagne jadis arriérée et ignorante où cette kermesse était souvent l'unique joie de l'année. Certes, les objets disparates offerts par les marchands forains sont pour la plupart d'une qualité que n'égale que leur goût douteux. Qu'importe, les pardons polonais n'ont rien perdu de leur attrait et continuent à être l'une des fêtes populaires préférées, une occasion de goûter ou de retrouver les joies de l'enfance.



Najwięcej radości z odpustu mają oczywiście dzieci — karuzele, strzelnice, kramy z zabawkami, cukierkami... Ale i dorośli z poważną miną fotografują się na tle egzotycznych pałaców. Gdy zmęczenie wejdzie w nogi — czas się posilić



Tygodniowa GAWĘDA

- ◆ „Wiosna 66” i wymagania mody
- ◆ Przemysł krajowy zaczyna wyścig
- ◆ Dobrego humoru przy stole!

Przy okazji „Wiosny 66”, jak w skrócie nazwano w Polsce wiosenne targi krajowe w Poznaniu — sporo cięgowców dostało się handlowi. A jak to było — opowiem. Warszawski Cedet (Centralny Dom Towarowy) wpadł na następujący pomysł: zaprosił na targi liczną grupę nastolatków obojga płci, zaprowadził do pawilonu odzieżowego i zapytał, w co chcieliby się ubrać. Okazało się, że wybór młodych ludzi znacznie różnił się od wyboru speców zaopatrujących Cedet, którzy zamawiają odzież dla domu towarowego.

Nowości, te najbardziej pożądane, produkowane są w zbyt małych ilościach, by zaspokoić bardzo chłonny rynek. Stąd duży i uzasadniony nacisk opinii publicznej na przemysł, by zrezygnował z produkowania starych

wzorów, chociaż z nowościami niemało zamieszania.

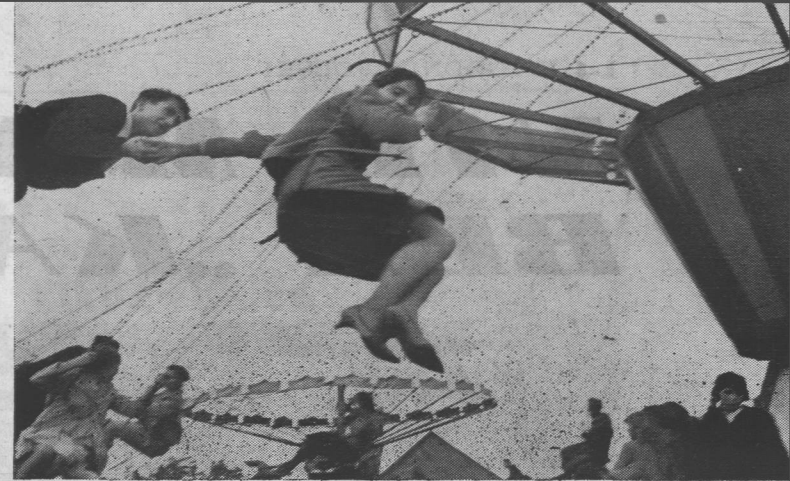
Weźmy dla przykładu modę kobiecą i nowy styl zwany op-art., wzięty z malarstwa abstrakcyjnego i geometrii. Lansuje go wytwórca „Moda Polska”. Nie bez racji też felietonista „Przekroju” J. L. Kern pisze:

„Doszła już do kraju Polan
Moda odsłoniętych kolan”.

Wymagania klientów rosną, rośnie ich apetyt na nowości. Przemysł podejmuje więc wyścig z modą, przy ogólnym dopingu publiczności.

A propos apetytu: życzę Wam Wesołego Jajeczka oraz dobrego humoru przy stole wielkanocnym.

MARIAN



Na karuzelę najtrudniej dostać się ...dzieciom. Ulubiona to bowiem rozrywka „nastolatków”, bo jakaż może być większa uciecha dla chłopców niż piski dziewcząt przestraszonych szaleńczym wirem i pędem? A choć to nie karnawał, sprzedawca baloników nie może narzekać na brak klientów ...dorosłych



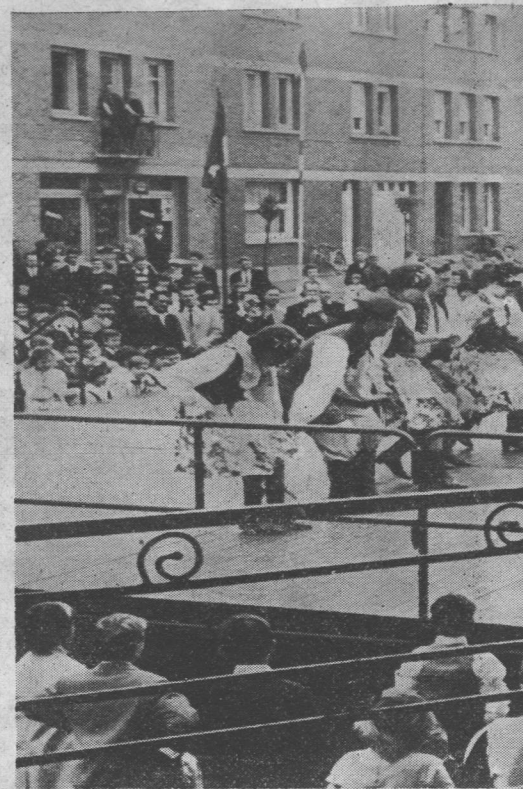
Zdjęcia: Kazimierz SĘDZIKOWSKI



NIE MA CARVIN BEZ „KAROLINKI”



Jedno z najstarszych zdjęć. Mała krakowianka w białym fartuszkach, stojąca w środku, to Monika Swadźba, nadal członkini zespołu. Chłopcy również pozostali wierni „Karolince”. Po prawej ci sami chłopcy około 10 lat później. Brak jeszcze dwóch, którzy odbywają służbę wojskową, ale wróca potem znów



Żaden zespół nie osiągnął dotychczas w północnej Francji takiej popularności jak właśnie „Karolinka” z Carvin

Kiedy młodzież z zespołu „Karolinka” wyjeżdża gdzieś na występy, za autokarem zespołu ciągnie z Carvin sznur samochodów. Są to „supporters”, czy — jeśli ktoś woli — „kibice”. Ludzie spoza zespołu, nie związani formalnie niczym z „Karolinką” poza zainteresowaniem, sympatią, a nieraz nawet i entuzjazmem dla folkloru polskiego. „Karolinka” istnieje około 10 lat. I przez ten czas potrafiła stać się pupilką swojej miejscowości. Zarówno mieszkańców — Polaków i Francuzów — jak i instytucji miejscowych. Trudno sobie dzisiaj wyobrazić Carvin bez „Karolinki”.

PANI FRANCISZKA ŁUCOWA przechowuje setki zdjęć zespołu. Wśród nich jest jedno zdjęcie sprzed kilku lat, na którym widać grupę dzieci w krakowskich strojach.

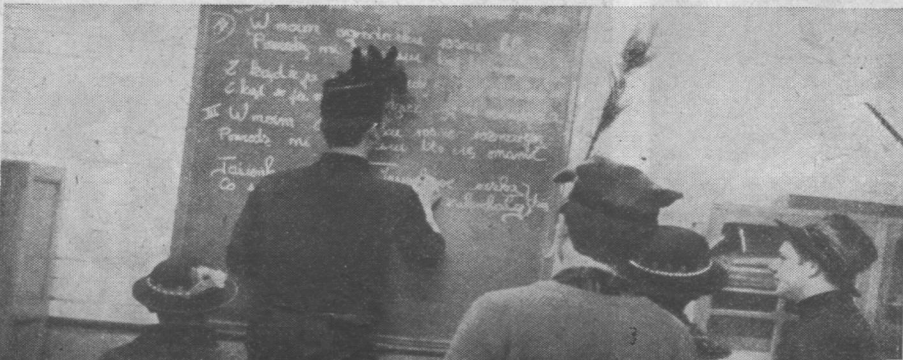
— Widzicie tę dziewczynkę w białym fartuszkach, pośrodku grupy? — pyta pani Lucowa. — To Monika Swadźba, do dzisiaj członkini naszego zespołu. Reszta dziewcząt powychodziła za mąż i z zalem musiała opuścić „Karolinkę”. Chłopcy natomiast pozostali. Minęło blisko dziesięć lat, a wszyscy, którzy są na tym zdjęciu, tańczą nadal w „Karolince”, mimo że to już 20-letni młodzieńcy. Niektórzy już po wojsku. Na czas służby opuścili nas, ale po powrocie do cywila powrócili również do „Karolinki”.

W początkach istnienia zespołu należało do niego pięciu chłopców. Spotykamy ich dzisiaj na próbach „Karolinki”. Nie wyobrażają sobie, jak mogliby odejść od zespołu i przestać występować na polskich imprezach.

Zespół trwa. Młodzież żyła się ze sobą, stworzyła atmosferę szczerzej przyjaźni i koleżeństwa, która cementuje grupę. Każda próba jest miłym spotkaniem, a każdy występ wspólną satysfakcją z rzetelnie wykonywanej pracy. To właśnie skłania młodych — aby kontynuować działalność, która im sprawia przyjemność, a w środowisku Carvin i nawet na szerszym terenie uważana jest za pożyteczną, za bardzo potrzebną.

— Jaka jest przyczyna, że z taką wytrwałością pracujecie w zespole? — pyta młodych z „Karolinki”.

Uczenie się słów pieśni polskich jest jednocześnie i ćwiczeniem językowym



— *Lubimy to* — odpowiadają. — *Jest wśród nas „ambiance” taka, jak rzadko gdzie.*

— *No i chyba trochę też i dla Polaków?* — pyta p. Kazimiera Kowalska — która ofiarne pierze koszule łowickie, krakowskie, spodnie i fartuszki całego zespołu. — *Chyba wiecie, jak ludzie na te tańce czekają?*

Tak. O tym wiedzą. Nieraz już spotykali się z wyrazami uznania i wdzięczności ze strony Rodaków. Ale młodzi nie mówią nigdy o tym, czym jest ich zespół dla Carvin. Nie lubią się chwalić, nie lubią używać wielkich słów. Wolą, żeby nadal było tak jak dotąd: praca ich jest przede wszystkim przyjemnością. A to, że Carvin przestałoby być Carvin bez „Karolinki”, to już inna sprawa. I niech inni o tym mówią.

A oto inne zdjęcie. Zdjęcie samych chłopców w krakowskich strojach. U góry od lewej: Michaś Łuc, Staszek Langowski, Jurek Łuc, Henio Szewczykowski. Na dole od lewej: Jacques Polowczak, Janek Murzyn, Daniel Langowski. Nie ma na fotografii Edzia Krawczyka i Gerarda Łazareckiego. Są w tej chwili w wojsku, ale nie przestali być członkami zespołu.

Powtarza się nazwisko Łuc. Nazwisko to związane jest z dziejami zespołu. Michaś i Jerzy Łuc tańczy w zespole młodzieżowym od chwili jego założenia. Młodszy brat ich, Rysio, jest najlepszym tancerzem zespołu dziecięcego. P. Franciszka Łucowa — która oddaje swą salę w Carvin do całkowitej dyspozycji zespołu, czyści cierpliwie przed każdym występem 30 par butów krakowskich. I wszyscy wspominają niezjącego już ojca, z którego inicjatywy zespół powstał.

— *Nie ma już szkoły polskiej. Dzieci nie uczą się jak dawniej naszego języka. Ocalmy coś polskiego w naszej kolonii!* — powiedział p. Bolesław Łuc.

Innym entuzjastą okazał się p. Karol Barabasz, a także p. Franciszek Bisto. Komitet zabrał się energicznie do pracy i zespół powstał. Wybrał imię „Karolinka”. Czy dla uczczenia zasług p. Karola Barabasza, czy też w nawiązaniu do ślicznej piosenki śpiewanej przez ze-

spół „Śląsk” — dzisiaj trudno już odpowiedzieć. Dość, że zespół ma tę nazwę i jest z niej zadowolony, bo nawet Francuzi z łatwością ją wymawiają i zapamiętują.

Tak powstała grupa młodzieżowa, z którą związane jest ściśle nazwisko jednej rodziny. I sama grupa również stała się jakby jedną dużą rodziną.

To były niezapomniane chwile! Odbywał się Karnawał Wiosenny w Lens i na estradę, ustawioną na place du Cantin wbiegli tanecznym krokiem zespół „Karolinka”. Wokół zwała się burza oklasków.

— „Karolinka” z Carvin! Nasza „Karolinka”! — wołano zewsząd.

Zespół tańczył z werwą krewkiego oberka. Pary rozwijały i związały w barwny szereg, koła, szpalery, bukiety barw i blasków. Szło im tego dnia wspaniale. I wtedy rozległ się nagle suchy trzask pękających desek. Zaczęła się walić estrada...

Przerwać taniec? Zepsuć efekt tak świetnie rozpoczętego występu? — kierownicy zespołu i tancerze gorączkowo szukali wyjścia z sytuacji. — Wytrzyma czy nie wytrzyma do końca? A jeśli zawali się wraz z tancerzami?

I wtedy p. Karol Barabasz rzucił gromkim głosem w stronę zięcia p. Beurepaire: — *Viens!*

I dał nura pod estradę. P. Beurepaire pobiegł za nim natychmiast i w chwilę potem dwie pary muskularnych ramion podniosły łamiącą się estradę. Tancerze nie przegrali występu. Zrozumeli, że sytuację ktoś uratował i publiczność niczego nie zauważy.

Kronika zespołu „Karolinka”, gdyby ją spisać, zawierałaby więcej takich barwnych kart. Do tej kroniki wpisać należałoby również listę zdobytych nagród, dyplomów, pucharów. W konkursie Ligue des Flandres zdobył zespół trzykrotnie I nagrodę. Również I nagrodę uzyskał w zawodach nazwanych „Challenge de Harnes” w 1961 roku. W tym samym roku zajął III miejsce w ogólnofrancuskim konkursie zespołów folklorystycznych o puchar Ambasadora PRL w Gauchy (Aisne). Podobnie i w 1964 roku „Karolinka” uplasowała się na I miejscu w konkursie Ligi Flandryjskiej i na III miejscu w konkursie o puchar Ambasadora. Przez cały ten czas przygrywał im do tańca p. Bisto.

Ale oprócz oficjalnych wyrazów powodzenia „Karolinki”, oprócz nagród i pucharów są jeszcze wspomnienia owacji spontanicznych, wyrazów sympatii i uznania nie oficjalnego jury, ale tłumowi ludzi na ulicy. Pamiętają jak w Cassel koło Dunkierki trzeba było tańczyć na śniegu. I jak wtedy reagowała publiczność! Pamiętają jak w Saint-Quentin rozentuzjasmowani ludzie rzucali im kwiaty i pieniądze. Pamię-

tają jak w Pont-sur-Sambre nad granicą belgijską zachwyceni widzowie podbiegli, aby dotknąć ręką ich strojów. Jak w Arras oklaskiwał ich tłum pod ulewnym deszczem i domagał się bisów. Nie zapomną też swego największego sukcesu odniesionego w Loos-lez-Lille, gdzie publiczność, po 4 i półgodzinnym występie „Karolinki” nie chciała wypuścić zespołu ze sceny i domagała się uparcie bisów. No i wszędzie te okrzyki „Vive la Pologne!”

W styczniu napływają pierwsze zaproszenia do wzięcia udziału w imprezach, zamówienia na występy. Sekretariat „Karolinki” układa kalendarz, akceptuje terminy. Wkrótce wszystkie soboty i niedziele są zajęte i tym, którzy przysyłają zamówienia później, trzeba niestety odmawiać. Trzeba również odrzucać wszystkie oferty na lipiec i sierpień. Członkowie zespołu — uczniowie, studenci, robotnicy i pracownicy różnych instytucji są wtedy na urlo-pach lub też na kursach w Polsce. (W tym roku jedzie do Kraju 11 par na kursy tańca). „Karolinka” chciałaby zaspokoić wszystkich, jednakże jest tak rozrywana, że w końcu musi z części zamówień na występy zrezygnować.

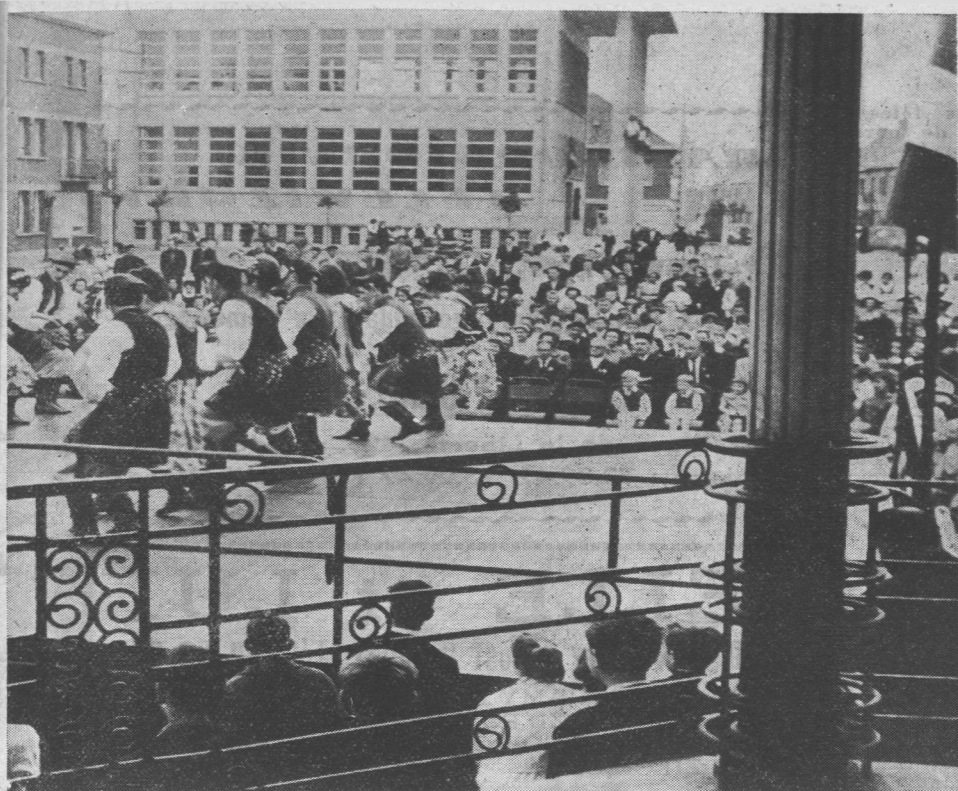
Zespół zarabia na siebie, nie obciąża członków składkami, jest w stanie z własnych funduszy sprowadzać z Polski stroje ludowe, organizować uroczystości i imprezy wewnętrzne z okazji różnych świąt, a każdą próbę połączyć z towarzyską herbatką.

Wiele instytucji pomaga zespołowi i zachęca go do kontynuowania działalności: dyrekcja kopalń Oignies, Amicale des Cadres, profesorowie i nauczycielstwo z okręgu i inni z panem Rozwadowskim i panną Kołwak, którzy są instruktorami zespołu; jest z nim w kontakcie wielu profesorów francuskich. Niektórzy uczą się języka polskiego, wielu uczy się pieśni i tańców polskich, ażeby z kolei nauczyć ich młodzież francuską.

Po tych licznych występach „Karolinki”, których ogólną liczbę ocenia się mniej więcej na 300 i które dały zespołowi popularność, jakiej nie zdobył nigdy przedtem żaden zespół, jest do zanotowania jeszcze jedno osiągnięcie. Przez popularyzację folkloru polskiego „Karolinka” budzi zainteresowanie Polką. I coraz częściej zdarza się, że do zespołu zwracają się Francuzi, pojedyncze osoby lub też stowarzyszenia i grupy z zapytaniem, w jaki sposób można rozpocząć starania o wizę do Polski.

— *Piękne są Wasze tańce i pieśni. Chcielibyśmy zobaczyć, jak wygląda Polska!*

I te pytania są chyba największym wyrazem uznania, jakie zaskarbia sobie „Karolinka”.



Wesołych Świąt!

Przyfrunęła jaskółeczka chyża —
Posłuchajcie — Wielkanoc się zbliża!
Białe grusze rozkwitły dziś rano,
posłuchajcie — Wielkanoc, Wielkanoc!

Mama wrzuca rodzyнки do ciasta,
patrzcie, patrzcie, jak w górę urasta,
A Michałek, Helenka i Genia,
ślą do wszystkich świąteczne życzenia.

Do kolegów, co w Francji mieszkają,
do przyjaciół i krewnych do Kraju,
do miasteczek dalekich i bliskich —
Świąt wesołych życzymy Wam wszystkim!

POLSKIE PISANKI

Napisał Jerzyk kartkę do Hanki, a na tej kartce były pisanki. Pisanki żółte, złote, niebieskie, w różowe kropki, w błękitne kreski. Frunęła kartka z miasta Poznania — hen, aż do Francji, gdzie mieszka Hania. I w samolocie, ponad górami, lśni i migoce stu kolorami.

Przychodzi z torbą listonosz siwy, przegląda pocztę — cóż to za dziwy? Wśród stosu listów, które się piętrzą, co to tak bliższy wiosną i tęczą?

Barwy, kolory, wzory ludowe, kreski niebieskie, kropki różowe, kragłe jajeczka, złote kółeczka — a z tyłu adres: — Słowik Haneczka.

Przyszedł listonosz, Hani się kłania, podaje śliczną kartkę z Poznania. Ale się przy tym szczerze przyznaje, że jeszcze takich nie widział jajek.

Na to zaśmiały się oczy Hanki. „To przecież nasze polskie pisanki! Stół wielkanocny nam przystrajają, według tradycji naszego Kraju.”

O tradycji pięknych kraszerek

Wspólnym zwyczajem wielkanocnym dla wszystkich regionów Polski jest kraszanie pisanek. W zależności od sposobów barwienia i zdobienia nazywają je kraszankami, malowaniami, pisankami, byczkami.

Skąd zwyczaj ten przywedrował do Polski, tego etnografowie nie ustalili.

Wiadomo tylko, że o zwyczaju tym pisał już w początkach XIII wieku biskup krakowski Wincenty Kadłubek. Może przynieśli go rzymscy kupcy wędrujący „bursztynowym szlakiem” nad Bałtyk? Już na cztery wieki przed Kadłubkiem o malowaniu jaj pisali Owidiusz i Pliniusz.

Jak daleko sięga nasza historia, pisanki zawsze były związane ze świętami wielkanocnymi. Były symbolem końca wielkopostnej wstrzemięźliwości i początkiem świątecznego obżarstwa.

Pisanki były też nieodłącznymi rekwizytami różnych zabaw i gier. W niektórych regionach Polski do dzisiejszego dnia młodzież chętnie gra w „bitki”. Zabawa polega na uderzaniu przez przeciwników pisankami jedna o drugą. Zbita pisanka staje się własnością zwycięzcy.



Czy zgłosiliście już dziecko
na kolonie w Polsce?
Informacje w Konsulatach PRL

PLUSZOWY NIEDŹWIADEK

Lubicie wchodzić do sklepu z zabawkami? O, na pewno! Ież tam jest skarbow dla dzieci: lalki, pajace, kolejki elektryczne, piłki, samochody i inne przeróżne skarby i cuda. A widzieliście tam pluszowe misie? Stoją na półkach, małe i duże, we włochatych futerkach i patrzają na was czarnymi, błyszczącymi oczkami. Najmłodsze dzieci bardzo lubią te misie i każde pragnęłoby mieć choćby jednego z nich do zabawy.

Otóż czy wiecie, że fabryki w Polsce wyrabiają tysiące takich misiów? Ładuje się je potem do pociągów i jadą one w daleki świat. Najwięcej z nich przybywa do Francji i to są właśnie te polskie pluszowe niedźwiadki, które podziwiacie w magazynach z zabawkami.

Spójrzcie na jednego z nich, który siedzi o tam, na półce, obok małej laleczki. Przyjechał tu niedawno z Siedlec. Rozglądał się ciekawie dokoła i przez szybę wystawy rzucał spojrzenia na ulicę, jakby chciał zapytać: — „Jak wygląda francuskie miasto? I jakie tu są dzieci? Czy które z nich mnie kupi? Czy mu się spodoba?”...



Do sklepu weszła właśnie mała dziewczynka. Zaczęła chodzić powoli wzdłuż magazynu i na każdej zabawce zatrzymywała swoje niebieskie, zachwyczone oczka.

— Tu veux une poupée? — zapytała ją wreszcie matka.

— Non. Achète-moi cet ours en peluche!

Mały miś niczego nie zrozumiał, bo nie znał francuskiego. Ale ucieszył się, gdy dziewczynka wzięła go na ręce i przytuliła do siebie.

— Jaki śliczny, mały miś! — zawołała.

Miś aż podskoczył na te słowa. — Skąd ona umie po polsku? — pomyślał zdumiony. Nie wiedział bowiem, że dużo dzieci polskich mieszka we Francji. A dziewczynka nie wiedziała, że miś przyjechał z Polski. Od razu jednak połączyła ich serdeczna przyjaźń.

Od tego czasu mała dziewczynka i mniejszy trochę od niej niedźwiadek nie rozstają się ze sobą nigdy.

Zagrajmy w „zielone”!

Czy znacie zabawę w „zielone”? Wszystkie dzieci i we Francji i w Polsce bawią się w tę grę na wiosnę. A na czym ona polega? Otóż trzeba mieć zawsze przy sobie kawałek zieleni — jakiś listek, trawkę lub zieloną gałązkę i na każde pytanie — „masz zielone?” — pokazać, że się je ma. Jesli nie, daje się fant.

Marysia, która bardzo lubi tę zabawę, nigdy jeszcze dotąd fantów nie płaciła. Kiedykolwiek bowiem zapytasz ją o zielone, wyciąga zawsze z kieszeni, z teczki lub z włosek zielony listeczek.

Ale oto przed świętami wielkanocnymi była bardzo zajęta malowaniem pisanek. O całym świecie zapomniała, siedząc z pędzel-

kiem nad koszykiem jajek. Nagle, gdy tak pilnie pracowała, przyskoczył do niej Staś?

— Masz zielone?

Dziewczynka się zmieszala i zaczęła gorączkowo szukać. Nie znalazła.

Staś już triumfował, gdy nagle Marysia wyciągnęła — wiecie co? Zieloną pisankę!

— Mam! — zawołała.

— O, to się nie liczy — oponował Staś.

— Dlaczego? Przecież pisanka ta jest zielona i świeża, bo właśnie umalowana.

Dzieci zaczęły się sprzeczać. A wy jak myślicie? Czy Marysia powinna dać fant, czy nie?

KWIECIEŃ — PLECIEŃ

Kwiecień-plecień — bo przeplata,
trochę zimy, trochę lata,
trochę słońca, trochę błota,
raz pogoda — a raz ślota.

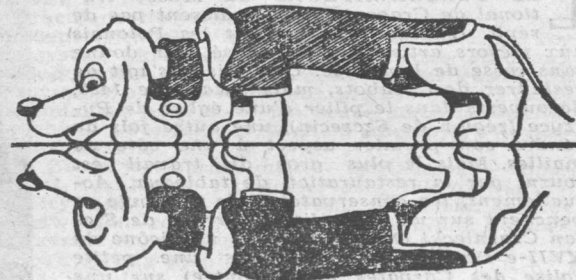
Ale cóż to tobie szkodzi,
że po wodzie chwilę brodzisz,
jeśli ukrótce, po godzinie,
jasny błękit znów wypłynie?

Dziś masz jeszcze katar z chrypką,
ale jutro przejdzie szybko —
Patrz, — dokoła kwiaty rosną,
tak się kwiecień droczy z wiosną!

Szukamy błędów — Cherchons les erreurs

Chociaż jest to lustrzane odbicie pieska, jednak niedokładne. Znajdźcie 6 błędów w tym odbiciu.

Bien que ce dessin représente un chien et son reflet dans une glace, le reflet n'est pas fidèle et contient 6 erreurs. Qui les trouvera?





„MAZOWSZE” à l'ALHAMBRA

Depuis plus de 15 ans qu'il remporte des succès sur tous les continents, la réputation de l'ensemble polonais de chant et de danses „Mazowsze” n'est plus à faire. Tadeusz Sygietyński, créateur de la troupe, et — après sa mort — sa femme Mira Zimińska-Sygietańska, ont réussi la gageure de rester fidèles au folklore polonais tout en présentant des spectacles toujours renouvelés et, affirmons-le, modernes.

Durant trois semaines, du 15 avril au 8 mai, „Mazowsze” se produira à Paris sur la scène de „l'Alhambra”. C'est une occasion unique pour les habitants de la capitale et de la région parisienne d'admirer un spectacle haut en couleurs auquel nul ne saurait rester indifférent (Notons que le spectacle du 23 avril sera partiellement réservé aux délégués de la Conférence Nationale de l'Association Oder-Neisse).

Auparavant „Mazowsze” participe, du 9 au 12 avril, au festival de Monte-Carlo. De Paris, l'ensemble se rendra en Suisse. Sa tournée doit ensuite continuer par l'Autriche, mais on prévoit encore l'éventualité de deux spectacles le 15 mai à Nancy et le 17 mai à Amiens. Espérons que cette éventualité se réalisera.

■ NOUVELLES ECLAIR ■

▲ Kraśnik, ville de la voïvodie de Lublin que l'après guerre a doté d'une importante industrie, pourra se flatter d'une véritable cité scolaire. Les architectes viennent de terminer les projets d'un ensemble de six écoles professionnelles, d'ateliers scolaires et d'internats qui formeront un quartier nouveau de la ville.

▲ Les exportateurs polonais ont déjà vendu à Londres, Leipzig et Montréal 130 mille peaux de renards et 80 mille peaux

de pékans. Au total les exportations polonaises de pelleteries atteindront cette année quelque 45 millions de Francs (9 millions de dollars), soit près du double de celles de l'an dernier.

▲ Un sculpteur polonais, Tadeusz Zieliński, domicilié en Angleterre exécutera les bas-reliefs en ciment et aluminium qui doivent orner le nouveau siège de Scotland Yard à Londres, situé évidemment dans Baker Street, la rue de Sherlock Holmes.

LES CONSERVATEURS du Musée National de Cracovie ne connaissent pas de répit. L'amour que portent les Polonais aux trésors artistiques du passé leur donne sans cesse de l'ouvrage. Une fois il s'agit de restaurer des... sabots, mais datant de 1430, découverts dans le pilier d'une église de Pyrzyce (région de Szczecin), une autre fois de rendre son premier aspect à une côte de mailles. Mais le plus gros du travail est fourni par la restauration de tableaux. Actuellement, les conservateurs de Cracovie se penchent sur un magnifique portrait de Stefan Czarniecki (1599—1665), sur une icône du XVII-e siècle découverte dans une petite église des Carpates et (ci-contre) sur une Sainte Famille peinte sur bois vers 1515.



A l'occasion des fêtes, il nous a semblé bon de fournir aux amis de la page française des sujets de lecture un peu moins sérieux, pêchés au hasard des rubriques de faits divers dans les journaux...

Pure laine

Cette élégante de Kielce porte un très chic gilet du plus beau noir, exactement assorti au pelage du caniche racé qu'elle promène tous les jours. L'époux de Madame et ses enfants portent l'hiver des gants chauds confectionnés de la même laine fournie... par le caniche toujours tondu selon la dernière mode canine.

Squelettes en vrac

Ce fut la panique dans le tramway numéro 12 des lignes silésiennes. Un coup de frein trop brutal du wattman provoquait l'ouverture d'une valise portée par un monsieur d'aspect très convenable. Une avalanche de crânes et de tibias humains s'en échappa. Les agents avaient déjà été avertis quand un témoin plus courageux s'aperçut que les ossements étaient en... nylon. Il s'agissait de... fournitures scolaires.

Un planton gradé

Se penchant un dimanche à sa fenêtre, une Cracovienne âgée demanda d'un ton impératif à un monsieur promenant son chien, d'aller lui chercher le „Dziennik Polski”, populaire quotidien local. Malgré ses efforts, une heure après le promeneur dut avouer qu'il n'avait pu trouver le journal et fut sévèrement réprimandé. Ceci, en la présence fortuite d'un journaliste qui constata avec étonnement que le „planton” malhabile était le général Rozłubirski, commandant d'une division aéroportée...

Charité bien ordonnée

Genowefa Kapuścińska était une pauvre vieille du village de Zduny dans la région de Łowicz. Elle vivait, plutôt mal, de la charité des voisins. A sa mort, nul héritier ne se présenta. Et c'est l'Etat qui bénéficia des montres et bijoux de l'argent liquide trouvés au domicile de la défunte (250.000 zlotys au total). Une enquête révéla qu'elle se livrait depuis de longues années à l'usure. Nul n'en avait jamais pipé mot.

Le visiteur du soir

Tard dans la soirée, une clef grinça dans la serrure. Un monsieur légèrement titubant salua dignement au passage Monsieur et Madame S., locataires de cet appartement de la rue Cieszyńska à Chorzów, gagna la chambre à coucher et se mit au lit. Comme les hôtes de céans avaient des invités, ils surent attendre jusqu'au matin pour apprendre que leur sous-locataire d'une nuit habitait un logement jumeau, dans la cage d'escalier voisine. Comme quoi la standardisation concerne les immeubles, les appartements, les meubles et mêmes les serrures.

RADIOODBIORNIKI TELEWIZORY

◆ Lodówki, maszyny do prania

! inne artykuły gospodarstwa domowego ◆

LENG — PICARD ET C-IE

16, Place de la Liberté, 423, rue de Lannoy
Telefony: 73.39.42, 73.29.47 ROUBAIX (Nord)

ELLE et LUI

DOUAI (na wprost dworca) Tél. 88-60-04

ZAWIADAMIAMY SZANOWNYCH KLIENTÓW, ŻE POSIADAMY NA SKŁADZIE BOGATY WYBÓR ODZIEŻY MĘSKIEJ I DZIECIĘCEJ

- NAJNOWSZE MODELE!
- NAJMODNIEJSZE KOLORY!
- CENY PRZYSTĘPNE!

5% ZNIŻKI DLA LICZNYCH RODZIN I PENSJONOWANYCH

Posiadamy na składzie gwarantowane i pierwszej jakości:

PLÓTNO NA WSYPY ● PUCH I PIERZE
● BIELIZNĘ POŚCIELOWĄ

»Au tailleur de l'Alouette«

HERBAULT DENNEULIN

UBRANIA NA MIARĘ ● MĘSKIE I DAMSKIE

Niedościgniona jakość — Rewelacyjne ceny

CENTRALA: 62, rue de l'Alouette — ROUBAIX

S K L E P Y: Lille — 27, rue des Ponts de Comines

Douai — 65, rue de Paris

Lens — 20, rue de la Paix

Dunkerque — 2, rue de Soubise

„MISS COUTURE”

A. HUDYKA

Magazyn: 55, rue de Bouvines LILLE (Fives)

Siedziba: 199, rue de Paris LILLE

Telefon: 53-10-03

Konfekcja męska,
damska i dziecięca

■ Suknie ■ spódnice

■ swetry ■ bluzki

■ popeliny ■ tergal

PIERZE • WSYPY • POSZWY • DAMASY

Ceny niskie

Na żądanie wysyłamy próbki

D. DOWOJNA - BIENAIME

ŹŁUMACZKA PRZYSIĘGŁA PRZY WYŻSZYCH SĄDACH W PARYŻU

Tłumaczenia urzędowe ważne w całej Francji

23, quai de la Tournelle PARIS (5e)

TELEFON: ODEon 41-17 METRO: PONT-MARIE

Już w pierwszych miesiącach okupacji hitlerowskiej Kraju podjęte zostają akcje podziemne ruchu oporu. Grupy działaczy lewicowych przystępują do organizowania walki z wrogiem i formowania oddziałów partyzanckich. Działalność ta rozszerza się z chwilą powstania Polskiej Partii Robotniczej. Oddziały zbrojne podejmują szereg śmiałych akcji. Rosnie siła Partii i liczebność armii podziemnej. Kolebką skoncentrowanych sił ruchu partyzanckiego staje się Lubelszczyzna. Tu rozpoczyna się na przełomie lat 1943 i 1944 regularna wojna partyzancka. Oddziały Armii Ludowej osiadcją hitlerowskie zaplecze frontu wschodniego, prowadzą akcje odwetowe za terror i zbrodnie okupanta. W walce ze zniechęconym wrogiem rodzi się jedność czynu zbrojnego różnych ugrupowań ruchu oporu wbrew reakcyjnej tendencji bratobójczych sporów i haniebnym akcjom tzw. Narodowych Sił Zbrojnych. Partyzanci prowadzą szereg ważnych operacji bojowych. Ginie wielu bohaterskich żołnierzy ruchu oporu. Oddają życie w walce o wolność całe rodziny. Walka zbrojna potęguje się.

Irena i Ewa, dwie siostry — jakże piękne postacie w naszym antyhitlerowskim ruchu — zostały rozstrzelane. Zamordowano również Mietka.

Być może, ktoś zajmie się bliżej historią, którą wspominam. Może zamurzy się w minionym czasie i wydobydzie z zapomnienia szlachetne imiona, narkreśli obraz skromnych, lecz nieugiętych, szlachetnych i wielkich żołnierzy wolności.

Dzientelmeni z cichego zakątka



Lubelszczyzna długo była dla hitlerowców rezerwuarem żywności, z którego czerpali oni obficie. Jednakże już latem 1943 roku, w odpowiedzi na apel Komitetu Centralnego PPR, wszystkie organizacje partyjne oraz garnizony Gwardii Ludowej na Lubelszczyźnie, jak zresztą również na innych terenach okupowanego kraju, energicznie zabrały się do pracy, w różny sposób rozpowszechniając wśród chłopów treść apelu, straszającego się w haśle: nie pozwólcie okupantowi zbierać kontyngentów z zboża i mięsa!

Napisy i ulotki takiej właśnie treści pojawiały się we wszystkich wsiach Lubelszczyzny. Nad tą też sprawą radziła w sierpniu organizacja partyjna w gminie Firlej. Przybyłem na posiedzenie organizacji wraz z kilkoma towarzyszami celem udzielenia organizacji firlejskiej pomocy, o którą zwróciła się ona uprzednio do kierownictwa Obwodu.

Późnym wieczorem, gdy się już wszyscy zebraли, jeden z miejscowych towarzyszy zagał posiedzenie tymi słowami:

— Partia poleca nam wszystkim walkę z rabunkiem żywności przez okupanta i w walce tej uczestniczy patriotyczna ludność wiejska w coraz szerszym stopniu, chociaż okupant stosuje wobec chłopów ostre represje. Tymczasem, jak nam wszystkim wiadomo, niedaleko od naszej gminy, w lasach kozłowieckich, znajduje się duży majątek hrabiego Zamojskiego, z którego to majątku Niemcy czerpią żywność jak z dojrzałego spichrza. Jak nas informują robotnicy rolni i leśni, coraz częściej bywają tam hitlerowcy z Lubartowa i Lublina, nie wyłączając gestapowców i esesmanów. Chłopi pracujący w majątku powiadają, że Niemcy są tam bardzo mile widziani tak przez samego pana hrabiego, jak i zamieszkujących u niego przetrzebionych obszarników, którzy ściągali do bezpiecznego dla nich zakątka z różnych stron naszego kraju. Są tam więc panie i panowie, bardzo podobno nieszczęśliwi. Kiedy jednak Niemcy u nich goszczą, w pałacu nie tylko nie jest smutno, ale gwarno i wesoło. Brzęczą kielichy, gra muzyka, słychać piosenki polskie i niemieckie na przemian. Podobno najbardziej tam lubianą piosenką polską jest „Rano, rano, raniusieńko, rano po rosie...”, bo gdy wszyscy Niemcy są już dostatecznie obżarci i opici, rozpoczynają wędrowkę po stodołach i stajniach...

— Oczywiście razem z nieszczęśliwymi paniami — dodał ktoś z obecnych.

Niestety, była to prawda. Komitywa goszczących w majątku Zamojskiego osób z hitlerowcami doszła już do stanu, który wzbudzał szczerze oburzenie ludności. Chodziło jednak przede wszystkim o kwestię dostaw kontyngentowych dla Niemców. Hrabia starał się wyciskać z zatrudnionych robotników jak najwięcej, by dostawy zwiększać, gdy rzecz polegała właśnie na tym, aby Niemcom dać jak najmniej lub w ogóle nie dać nic.

— Miejscowi chłopci — ciągnął mówca — proszą nas o pomoc, bo trudno już to wszystko w sumie znieść, my zaś z kolei zwracamy się do was, towarzysze z kierownictwa, ponieważ o własnych siłach pomocy tej nie jesteśmy w stanie udzielić. Obecnie sytuacja jest taka: apel KC głosi, by Niemcom kontyngentu nie dać. I słusznie. Ale do zrealizowania tego hasła potrzebne jest działanie, ponieważ w majątku Zamojskiego robotnicy otrzymali od „nieszczęśliwych panów” po prostu rozkaz, aby omiły z dobrych tegorocznych plonów przeprowadzić jak najżybciej. Gdy robotnicy zapytali, po co ten nadzwyczajny pośpiech w młóceniu, panowie rozłożyli ręce. „Trudno Kochani, trudno — powiadają. — Siła wyższa, co robić? Mogą być przykre konsekwencje i dla nas, i dla was, jeśli Niemcy nie otrzymają tego, co chcą”. Te argumenty „naszych” panów podrzymywały panie, szczebiocąc: „Taki to czas, Kochani! Dać trzeba i będzie spokój w naszym zakątku...”

Nasłuchaliśmy się tej nocy wiele o „ciężkim” życiu obszarników i „trudnych” dla nich czasach w ich cichych zakątkach. Zapadła decyzja działania. Światało już, gdy towarzysze z firlejskiego garnizonu odchodzili do domów, aby przygotować się do wyprawy.

W odwiedziny do pałacu Zamojskich wybierało się niewielu gwardzistów, wszystkich może dwu-

Barwy walki

MIECZYŚLAW MOCZAR

dziesięciu kilku. Wśród nich Janek Sławiński, Franek Woliński — dowódca okręgu północnej Lubelszczyzny; Kazik Sidor, „Kotka” — Mikołaj Meluch, mieszkaniec wsi Jamy, jeden z pierwszych gwardzistów; „Stach” i jego brat „Czesław”, mieszkańcy wsi Rudka, również jedni z pierwszych partyzantów GL; Leszek Marzenta i inni, wszyscy odważni, dzielni chłopcy. Można było z nimi — jak to się mówi — góry przesuwac.

Nie zwlekając, siadliśmy na dostarczone nam przez garnizon rowery i ruszyliśmy gęsiego naprzód.

Droga była piaszczysta, toteż nasze metalowe rumaki skrzypiały tak płacziwie, jak gdyby ktoś im krzywdę wyrządzał. Jakoś jednak kilometrów ubywało.

Na horyzoncie ukazała się wreszcie ściana lasu kozłowieckiego. Poruszała się nad nią maleńki punkcik. Gdyśmy go rozpoznali, zaniepokoił nas.

— Spójrz, Mietek — odezwał się do mnie Kazik. — Ten łobuz nad lasem już z samego rana wisi.

— Tak, to „Suchy” patroluje okolice — odezwał się „Kotka”. — Trzeba się go wystrzegać.

„Suchy” — Storch, latając na rozpoznanie oddziałów partyzanckich, często otwierał ogień do podejrzanych ludzi na łąkach i pastwiskach. Niebezpieczny był również dla oddziałów leśnych, których miejsce pobytu rozpoznawał po dymach z ognisk, wznoszących się nad wierzchołki drzew.

Zwiększywszy tempo jazdy, sledziliśmy bacznie ruchy „Suchego”, brzęczące monotonią w powietrzu. Janek „Tyfus” sapiał na rowerze jak parowa maszyna, zwróciłem mu więc uwagę, by zachowywał się trochę ciszej, bo „Suchy” może go dosłyszeć. Hitlerowski lotnik nie dostrzegł nas jednak, choć niewątpliwie znajdowaliśmy się w jego polu widzenia. Być może zajęto go w tym czasie coś innego.

Gdy przybyliśmy do majątku, wrzała tam już praca. Huczwały młocarnie, sypało się obficie polskie zboże, aby Niemcy mieli dobry chleb. Dzięki ogólnemu krzątaniu mogliśmy spokojnie, a więc i dokładnie, obejrzeć zabudowania i dokonać podziału zadań. Kilku towarzyszy otrzymało rozkaz przerwania linii telefonicznej oraz zatrzymania w głównym budynku wszystkich tam obecnych; inni wyruszyli do pozostałych obiektów. My zaś, to znaczy Janek, Kazik, Franek i ja, ruszyliśmy w stronę bramy, przez którą weszliśmy na obszerny podwórzec. W głębi ujrzeliśmy pałacową werandę. Mimo iż było jeszcze stosunkowo wcześnie, około dziesiątej, przy stolikach siedziało chyba kilkadziesiąt w sumie osób. Grano, jak się zorientowaliśmy, w brydża, popijając przy tym zachwalaną głośno kawę ze śmietanką. Panie wybuchały raz po raz beztrudnym śmiechem, który perliście odbijał od chrapliwego, ciężkiego odgłosu młocarni.

Długo staliśmy, obserwując bez słowa rozbawione towarzystwo i przysłuchując się melodiom najnowszych niemieckich szlagerów. Nie zwracano na nas uwagi, a gdy wreszcie nas zauważono, nie wywołało to, o dziwo, żadnego poruszenia. Jakaś niewiasta nadal śpiewała solo, pozostałe panie prowadziły ożywioną konwersację. Wszyscy byli odziani dość lekko, pięknie opaleni, wypielegnowani.

Wreszcie jeden z panów, ubrany w nieskazitelnie białe spodnie, lecz bez koszuli, uniósł się z krzesła i podszedł do nas wolnym krokiem. Nie witając się wcale, już z daleka rozpoczął dziwną dla nas perorę:

— Co prawda dość dawno już nie byliście u nas, panowie — mówił, cedząc każde słowo. — Mimo to muszę wam powiedzieć, że tak robić nie wolno. Pojawiacie się nagle, ni stąd, ni zowąd, bez zapowiedzi... Przecież musi być, panowie, jakiś porządek, dyscyplina! Chociaż traktuję was jak gości, o czym niejednokrotnie już się przekonałiscie, i jestem nawet bardzo rad, widząc was w tych trudnych czasach zawsze gotowych do czynu, niemniej będę zmuszony zwrócić waszemu komendantowi ostrą uwagę, ponieważ o dyscyplinie zapominacie nam nie wolno. Porządek musi być, panowie!

Pouczając nas, jak powinniśmy się zachowywać w „trudnych wojennych czasach”, hrabia zbliżył się i objął nas władcym spojrzeniem. Widocznie oczekiwał od nas jakiejś odpowiedzi, ale widząc, że się nie odzywamy, kontynuował swój wywód:

— Tak, tak, panowie, trudne są dziś czasy, a mimo wszystko tak nie można. Zresztą ja już niejednokrotnie wspominałem waszemu komendantowi o tym. Tak, panowie...

Urwał w tym miejscu. Zabrakło mu widać konceptu.

— Rzeczywiście, może nie wszystko jest w porządku z naszej strony — odezwał się ktoś z nas nieśmiałym głosem. — Prosimy o wybaczenie...

— Zakłóciliśmy państwu spokój — dorzuciłem również nieśmiało — ale...

— Bez żadnego „ale”! — wrzasnął nagle pan hrabia, na którego nasza udana pokora podziałała z miejsca. — Co to ma znaczyć, panowie, to wasze „ale”?! Co to w ogóle za sposób mówienia żołnierzy do swych... (nie dopowiedział — przełożonych). Coś podobnego!

Znów mu zabrakło słów, tym razem z oburzenia, więc rozłożył tylko ręce w wynownym geście, skarcząc się niemo na swą krzywdę.

Nastąpiła przerwa w rozmowie, w czasie której podniecony hrabia, chcąc się wyładować, kilka razy wspinał się na palce.

„Ależ się zagalopował — pomyślałem. — Gdybyśmy byli nawet tymi, za których nas wziął, to znaczy AK-owcami, to również z nimi nie wolno mu było tak rozmawiać”.

Na tego rodzaju ton mogli sobie jednak pozwolić „nasi panowie” z tej przyczyny, że byli pewni siebie dzięki bliskim osobistym związkom z różnymi komendantami.

Nie przedstawialiśmy się naszemu miłemu rozmówcy. Byliśmy ciekawi jego dalszego zachowania, przypadek jednak zrządził, że hrabia sam rozpoznał, kim w rzeczywistości jesteśmy.

W pewnej chwili, gdy znów zaczął nas karcić, coraz surowiej i głośnie, znieruchomiał nagle i wyraźne dotąd słowa zamieniły się w jego ustach w zupełnie niezrozumiały bełkot. Potem począł miotać się jak tonący, który w niebezpieczeństwie zdobywa się na ogromny wysiłek i wyskakuje z wody, by zawołać o ratunek. Hrabia wprawdzie nie krzyknął „ratunku”, wystękał ledwie „witam panów”, ale jego głos był doprawdy głosem człowieka, którego ogarnęła nagła trwoga.

Rozbawione dotąd panie na werandzie ucichły naraz i spojrzyły w naszą stronę z wyraźnym niepokojem. Dziwne dźwięki wydobywające się z gardła hrabiego podziały na nie alarmując.

Myślę, że wszyscy ci, którzy w czasie okupacji brali udział w walce z Niemcami, łatwo odgadną, z jakiego to powodu ogarnął hrabiego śmiertelny niemały strach. Wywołały go skromne dwie litery „GL”, wyszyte przez dziewczęta z biednej wsi nadbużańskiej, a widniejące na naszych mundurach i tak późno przez hrabiego zauważone.

Te dwie litery zakłócały spokój naszym wrogom, okupantowi nie pozwoliły bezkarnie strzelać do naszych matek, pacyfikować polskich wsi, palić naszych chat. Teraz na ich widok doznał załamania pan hrabia. Minęło dobre kilka minut, nim doszedł on wreszcie na tyle do siebie, że pewnie już wyrzucił swój „zachwyty” z powodu naszej wizyty. Wyśiliwszy się, oznajmił donośniej głosem, aby go słyszano na werandzie: „Witam panów z Gwardii Ludowej”. Z werandy odpowiedziały na to dwa czy trzy lekliwe głosy. „Aaa... witamy... witamy panów z Gwardii Ludowej!”

Po paru sekundach przy stolikach zawrzało. Jedni nerwowo wstawali, nie wiedząc, co mają ze sobą zrobić, szczególnie ze swymi rękami, którymi — z braku odpowiedniego ubrania — wymachiwali beładnie. Inni znów stali wrośnieci w ziemię, niezdecydowani, co im czynić wypada.

— Jezus, Maria! Co teraz z nami będzie? — szeptały wystraszone panie. Szepot rósł w coraz głośniejsze lamenty i hrabia, mimo strachu, jakim był sam przejęty, postanowił zdobyć się na próbę uspokojenia swego towarzystwa.

— Proszę się nie przerażać, moi państwo! Ci panowie są panami z Gwardii Ludowej, prawdziwymi żołnierzami naszych czasów. Zresztą wiadomo nam wszystkim, jak bardzo okupanci boją się GL...

Przerwaliśmy te obłudne komplementy pytaniem.

— Kto jest właścicielem tej posiadłości?

— To ja pełnię obowiązki właściciela. Czym mogę panom służyć? — odezwał się nasz znajomy spod furtki i dodał szybko, zataczając ręką półkole: — Wszystko, co znajduje się w naszym posiadaniu, stoi również do panów dyspozycji.

— Ciekawi jesteśmy, co jest w waszym posiadaniu i co może z tego stanąć do naszej dyspozycji? — odezwał się Janek.

— Niewiele, panowie, niewiele — pośpieszył z odpowiedzią hrabia. — Jesteśmy, podobnie jak wy, biedą podszyci, nie wiedząc, co przyniesie nam jutro. Wojna jest straszna, dla nas i dla was. Zresztą dla panów to nie nowość, cóż będą mówili? Może Bóg da, że się to wkrótce zmieni... Państwo tu zebrawi — ciągnął — również oczekują wolności. Rodziny ich porozrucane są po całym świecie i nie wiadomo, czy je kiedyś zobaczą...

Zebrawi jak na komendę obiekli swe twarze w surową żałość.

Pracujące dotychczas młocarnie głośno w tym momencie jękły i umilkły. Zapanowała cisza. Towarzystwo skierowało wzrok w stronę ogromnej stodoły, gdzie „Maciek”, „Janek” i inni gwardziści rozprawiali się z młocarniami, przerywając — przynajmniej na ten rok — ich pracę dla hitlerowców. Po chwili „Staszek” i „Maciek” meldują o wykonaniu zadania.

— Zboża jest bardzo dużo — oświadczyli. — Sporo już wymłócono i podobno dziś, jak mówią robotnicy, ma ono być odstawione Niemcom. Jasnie państwo goni robotników już od kilku dni, bo chce dotrzymać słowa faszystom.

Spojrzeliliśmy pytająco na hrabiego.



Kocham Cię

ANKA KOWALSKA

Później, gdy się opanowała, rozmawialiśmy o stu obojętnych rzeczach. Wszystko jednak było nie tak, został zerwany kontakt, coś w niej jak gdyby zamarzło, herbata stygła przed nią na stole, zaczęła się ubierać. Stała przed lustrem i malowała usta, rzuciła szminke, oparła się o ścianę.

— Sabina. Niech ja umrę sama. Niechby nikogo, kto choć lubił. Ale niech on nie umiera przede mną. Poza mną. Tego nikt nie może chcieć ode mnie, Sabina. Tego nie.

— Na miłość Boską, przecież on nie myśli umierać! — zawołałam.

Popatrzyła na mnie ze zdziwieniem.

— Jak ty nic nie rozumiesz, Sabina. Jak ty nic nie wiesz.

— Jesteś zwyczajną histeryczką.

— Ja, Sabina, kocham — powiedziała.

— Zadręczasz się, nie kochasz. Zażyj bromu i idź spać. Poza tym każdemu z nas grozi to, co tobie.

Podeszła do drzwi, otworzyła je, wyszła; z korytarza odwróciła się jeszcze, światło latarni zza okna na klatce schodowej wybieliło jej twarz jak maskę.

— Ty nie wiesz. Ty myślisz, że ja o tym... że nie mogłabym żyć bez niego. A ja nie. Tylko ty nie wiesz, co to znaczy: nie mieć prawa ani do jego życia, ani śmierci. Ja, widzisz, jedno już znam.

I poszła. Dopiero wtedy zrozumiałam. Było to w parę miesięcy po śmierci jej matki; na pogrzeb nie jeździłam, bo nie mogłabym tego wytłumaczyć Teresie. I wyobraziłam sobie z kolei to, o czym ona musiała pomyśleć: o prawie i bezprawiu, i o śmierci, która tamtych nie wyrównuje. Zbiegłam ze schodów za nią, potknęłam się o wycieraczkę pod drzwiami na pierwszym piętrze, na dworze oślepiłam od deszczu, krzyknęłam: Agata! Obejrzała się, zaczęła biec ku mnie. Objęliśmy się mokrymi rękami, powiedziałam, że przecież, jeśli już śmierć, to nic nie ma znaczenia, ból jest ten sam, z obrączką na palcu czy bez, i nie wiedziałam, czy to deszcz obmywa jej twarz, czy łzy.

— Słóik — powiedziała. — Słóik z miodem. On lubi miód, wiesz. Ja nie. I ten napoczęty słóik z miodem stoi tam u mnie. Stoi na stole. To jest jedyny znak, że istnieje Borys. Na cmentarzu obok niej nie wolno byłoby mi płakać. Szałabym do tego słóika jak na prawdziwy grób.

13

pisankę przywiozłam jej z Warszawy tydzień przedtem. Weszłam do separátky trzymając ją w rękę, a matka zawołała: — Ach! — Strącę ją więc ze stolika, kolorowe skorupki rozsypią się z delikatnym chrzęstem, nie wytrzymam jej obojętności, w przerażeniu zachrypię: — Mamusiu.

Ale teraz nie będzie żadnego odwołania, żadnego ratunku, ona musi umrzeć absolutnie doskonale, bardziej niż wtedy, kiedy umierała naprawdę, bo wtedy przecież jeszcze mógł stać się cud, a w każdym razie można było się o to modlić i myśleć, że nagle zaprzestanie swego umierania, niech tylko zachrypię: mamusiu.

Teraz nic takiego nie może się stać, jak zresztą nie stało się wtedy; do końca mego życia będzie już tylko wołała egoistycznie i nierozsądnie mamó, mamó, jakby jej własna matka żyła jeszcze, jakbym to nie ja liczyła się przede wszystkim w jej życiu albo nie ojciec, jej mąż. Nic się nie stanie i znowu pomyślę, że całkiem tak samo ja będę mówiła umierając, będę ją wywoływała z grobu, jak gdyby właśnie ona mogła poradzić coś na moje umieranie, tak jak dawała mi jeść, gdy byłam głodna.

— Jeżeli spóźnisz się na pociąg... — powiedziała i uśmiechnęła się, lubił jej uśmiech.

Ty masz swój pociąg, ja mam ten list na stole. Każdemu to, co mu przeżyć należy. Nie będę mogła nic zrobić, żeby umarła szybko; dziś jeszcze tak, ale jutro nic nie będę mogła zrobić: jutro jest niedziela.

Jutro będzie niedziela; w niedzielę nie można popchnąć ani oszukać czasu, niedzielnego czasu, rozciągliwego jak guma czasu Marcelgo Prousta. W niedzielę nie jest się starszym księgowym ani szwecem, nie ma się uświęconego na ziemi miejsca przy biurku ani za ladą sklepową, niczego, co zostało do człowieka dodane. W niedzielę ogląda się przed lustrem swoją własną, odkrytą duszyczkę, swoje małe prywatne życie. Masz tutaj czystą koszulę, mówi żona i wkłada najlepsze buty, chociaż pada deszcz; obiad będzie się składał z trzech dań, i tatusiu, mamusiu, czy pójdziemy do cyrku, a jeżeli chcesz, moja droga, kupię bilety do kina, mówi mąż. I tak mijają niedziela.

Niedziela jest dla starych i zmęczonych, niedziela jest dla małżeństw, niedziela jest dla szczęśliwie zakochanych. Samotni sami są sobie winni, a niedziela jest karą dla winnych. W tym rozległym dniu tyle jest miejsca na miłość, na odpoczynek, na radość, co na cierpienie, na celebrowanie cierpienia. Nigdy nie kochałam ciebie bardziej niż w niedzielę. Tylko w niedzielę potrafisz cię tak nienawidzić. Pozbawiłeś mnie nawet ostatniej deski ratunku: chęci podniesienia słuchawki telefonu.

— No, idź — powiedziała — biegnij. — Położyła rękę na jego ramieniu, uśmiechy ich spotkały się na wietrze i chłodzie. Czerwonowłosa starsza pani spojrzała nieprzyjaźnie na to spotkanie uśmiechów i zwróciła ku sobie twarz. — No, idź — powiedziała.

I powiedziała: — Do poniedziałku.

Nim przyjdzie poniedziałek, wyprawię swoją matkę na tamten świat, powtórzę z pamięci każdy ruch jej głowy w prawo i lewo, w prawo i lewo; i małe pięć minut, podczas których potykając się

15

— Kochanie, jego znak to miłość. To nieważne, na co spadają łzy. Agata.

— Myślałam tak. Przedtem.

— Kiedy przedtem?

— Zanim umarła mama.

Tego wspomnienia mogłam tobie i sobie oszczędzić. Ostatecznie byłby to drobiazg prawie bez znaczenia — histeryczny lęk, wizja, która nigdy się nie spełni. Ale okazuje się, że nie było to takie bez znaczenia. Masz, przeczytaj: zrobię tymczasem herbaty. To opowiadanie znalazłam w jej papierach.

7

NIEDZIELA

— Idź już, idź — powiedziała i uśmiechnęła się.

Kiedy odejdziesz, odwrócisz się jeszcze, pomachasz ręką, a moja matka zacznie natychmiast znowu umierać, słuchaj; ona umiera znowu, gdy tylko zostaje sama. Kiedy znalazłam ten list, położyłam na stole, patrzyliśmy na siebie. Potem ubrałam się i pojechałam do Grandu. Nie pomyliłam się, w małym barze wsparty na obu łokciach siedział Michał. List leżał w moim pokoju, Michał zerwał się ze swego miejsca, ustąpił mi niewygodnego stołka.

Piliśmy koniak, barmanka-Violetta płowa i rosła przypomniała wielką kocicę. Spotykam ją rano w autobusie, czasem towarzyszy jej młody chłopak; oto i on, przyszedł, gdyśmy pili ten koniak. Barmanka-Violetta powiedziała „hellou”, chłopak zamamrotał „hallo, mama”, odebrał od niej jakąś książkę, wyszedł. Podniosłam do ust kieliszek, Michał pstryknął zapalniczką w koniuszek mojego papierosa, przyjrzałam się uważnie barmance i niedorzecznie powiedziałam: — Ona jest starsza od mojej matki. — Michał, który był na pogrzebie, popatrzył na mnie, powiedział: nie pij więcej.

— Idź — powiedziała i uśmiechnęła się.

Sobotnia histeria już ogarnęła ulice, na przystankach rozpoczęły się obłęzenia, w poszukiwaniu nieosiągalnej taksówki jedni przed drugimi ludzie wyskakiwali na jezdnię. Szarżo fioletowo przedwiosennym wieczorem, przewidziana co sześć dni niedziela trafiła w nieprzygotowane — jak zawsze — miasto, natychmiast pełne spazmów nierozpoznanej nadziei.

W nocy wzięłam proszek nasenny i zasnąłam nachylona nad nią z drewnianym owiniętym w mokrą ligninę; zasnąłam zwiłżając tym drewnianym małe, miłe wargi mojej matki: wargi miłe, małe, różowe, jakby wcale nie umierała, powtarzały uparcie i rytmicznie drobne słowo „mamo”, ale zasnąłam i nie doczekałam już chwili, gdy nagle zaprzestała tego jęku czy szepotu, i tak uciszszy siebie — i mnie — różowymi wargami zapytała niegłośno, wyraźnie i rzeczowo: — Dlaczego.

— Idź — powiedziała i uśmiechnęła się, lubił jej uśmiech.

Musisz zostawić mnie, musisz pędzić na pociąg; a gdzie ja mam pójść, dokąd uciec od jej umierania, niech umiera beze mnie, ja to już widziałam, wiem wszystko od początku do końca. Powie znów swoje mamó, głowa na poduszce zacznie się przekręcać w prawo i lewo, w prawo i lewo jak moja w miłości, tracąc ze stolika pisanek wielkanocną z pałeczką w otworze skorupki. Te

14

muszę zebrać i zwinąć w jej niebieski szlafrok wszystkie te śmieszne rzeczy: ranne pantofle, odwinęty z papierka cukierek, moje listy ułożone w szufladzie, ołówek, torbę, lusterko i szminke; zachrypię „mamusiu”, a ona mi nie odpowie. Na korytarzu podsłuchująca wśród nocy chora zapyta nieśmiało: już? — już, odpowiem.

— Do poniedziałku — powiedziała przytrzymując na twarzy uśmiech i wtedy dotknął dłoń koiernierza jej płaszcz, starsza pani wzruszyła ramionami.

— Poczekaj — powiedział. — Poczekaj.

I powiedział:

— Przyjadę jutro.

Żle usłyszałam, a może mi się przysniło albo ty pomyliłeś dni. Mylisz się tylko w sprawach drobnych, zapominasz tylko o białych, ale rzeczy drobne i białe czasem przestają być białe i drobne.

— Jutro? — zapytała.

Ja cię przecież nie pytam, dlaczego tylko ty decydujesz o naszych spotkaniach. Twoje depesze i telefony brzmią zawsze: „Przyjeżdżam dziś.” Wyrzucam bilet do teatru, albo przyjechała siostra, mówię przyjaciółom, mówię, niestety, muszę załatwić coś bardzo ważnego, przepraszam, mówię.

Nie pytam także, dlaczego nigdy nie przyjeżdżasz w niedzielę. Co sześć dni wchodzę w nią jak do klatki lwa, który odsłania kły. Zwierzę w jednym końcu, ja w drugim, słuchaj; jeśli nie poprosiłam, żebyś był ze mną w tę jutrzejszą, w tę jedyną niedzielę, to dlatego, że mogłabyś mi odmówić. Mogłabyś mi odmówić delikatnie i ze smutkiem, a w twoim głosie odkryłabym smutek zdziwienia, które chciałabyś zataić, bo jeden człowiek taktem musi naprawiać nietakt drugiego. Odmówiłabyś więc, a ja powiedziałabym „to nic, to nic”, i stałaby się rzecz nie do naprawienia, mała, drobna, biała rzecz nie do naprawienia, bo pomyślałabym wtedy, że nie wiem, po co jest miłość, jeśli nie po to, by się trzymać za rękę w ciemnościach pełnych przerażenia.

— Jutro? — zapytała małym i nikłym głosem. — Jutro? — I dodała sucho: — Jutro jest przecież niedziela.

— Jutro jest przecież niedziela — powiedziała raz jeszcze z nadzieją w głosie, ze strachem w głosie, z niepewnością; lew ukrył kły pod spienioną wargą.

— Wiem — powiedział z triumfem. Widziała go między rzęsami: nic nie wiedział o swoim cudotwórstwie, niczego nieświadomy prowadził ku jej rękom lwa łaskawego jak przyjazny pies.

— Wiem — powiedział. — To jest prezent dla ciebie. I dla mnie — powiedział. — Czekaj na mnie od piątej.

I powiedział: — Odjadę dopiero w nocy.

Daleko w perspektywie Alei ukazało się pudło autobusu, kolejka spiętrzyła się bezładnie, wszyscy spojrzeli na siebie ze wzmożoną niechęcią. Jej włosy znalazły się na jego piersiach, schwyła go za rękaw, położyła jej palce na swojej twarzy. Odpocznij, powiedział, czekaj na mnie, odwróciła się na stopniach, rozstać się nie mogą, powiedział złośliwy głos, podniosła ramię, podniósł ramię. Szedł wzdłuż chodnika, prosił przesuwać się do przodu — zawołał konduktor, a oknem płynęła już całkiem inna ulica.

(d. c. n.)

16

COPEXIM



**Entreprise Coopérative
de Commerce Extérieur S. à R. L.**
Żurawia 4, Varsovie 10, Pologne

Boîte Postale: 257 Tèlex: 81210 Wa
Téléphone: 28-64-91 Adresse télègr.: COPEX WARSZAWA



EXPORTATEUR

**d'un large assortiment
de poupées et jouets,
ornements pour arbres de Noël
et articles genre souvenirs.**



**LA GRANDE COOPERATIVE
REGIONALE**

OTWARTA DLA WSZYSTKICH KONSUMENTÓW

W DEPARTAMENTACH NORD I PAS-DE-CALAIS
SKLEPY SPÓŁDZIELCZE ROZMIESZCZONE SĄ MIĘDZY

VIEUX-CONDÉ I AUCHEL
300 SKLEPÓW — W TYM —

6 „SUPERETTES” i 45 „LIBRE-SERVICE”

CENY BARDZO PRZYSTĘPNE — NAJWYŻSZE GATUNKI — RABATY

KĄCIK FILATELISTY

Zwierzęta kopalne na znaczkach

5 marca wydano w Polsce nową serię znaczków, złożoną z 9 znaczków. Przedstawia ona zwierzęta kopalne — kregowce.

Znaczki wykonano techniką offsetową, na papierze kredowym. W formacie 51 × 39,5 mm z wyjątkiem znaczka wartości 2.50 zł, który jest w formacie odwrotnym: 39,5 × 51 mm.

Poszczególne znaczki, wydane w różnych nakładach, przedstawiają:

2.50 zł (2,5 mln sztuk) Archaeopteryx — **praptak wielkości gołębia**; żył w górnej jurze przed 140 milionami lat; z cech ptasich miał skrzydła i pióra; nie latał jednak jak dzisiejsze ptaki, lecz wdrapywał się na drzewa dzięki ostrym pazurkom na skrzydłach i zlatywał lotem ślizgowym.



20 gr (nakład 8 mln sztuk) — Dinichthys — **ryba drapieżna**, żyła w morzach dewońskich przed 380 milionami lat; głowa jej miała długość 1 metra, a tułów ok. 5 m; szczątki jej znaleziono również na terenie Polski.



60 gr (6 mln sztuk) Cynognathus — **dwumetrowy drapieżny gad ssakowski**; żył w okresie triasowym przed 220 milionami lat.



30 gr (6 mln sztuk) Eusthenopteron — **ryba kostno-szkieletowa**, żyjąca w płytkich zbiornikach dewońskich przed 370 milionami lat; ryby te, o silnych mięsistych płetwach wzmocnionych szkieletem kostnym, dały początek rybom płucodocznym; prawdopodobnie od tej ryby wywodzą się pierwsze kregowce lądowe — najprymitywniejsze płazy.



3.40 zł (2,5 mln sztuk) Brontotherium — żył w okresie trzeciorzędowym, w epoce oligoceńskiej, przed 30 milionami lat, w stepach Ameryki Pn. i Azji Wsch.; szczątki jego znaleziono również w Europie; ma cechy zarówno sioni, jak i nosorożców.



40 gr (6,5 mln sztuk) Ichthyostega — **najprymitywniejszy płaz**, zachowujący w budowie cechy ryb (łuski na ciele, budowa czaszki); cechy gadzie występują w budowie miednicy i kończyn; żył na Grenlandii w górnym dewonie, ok. 355 milionów lat temu.



6.50 zł (1,4 mln sztuk) Machairodus — jeden z **najdrapieżniejszych przedstawicieli kotów** w okresie trzeciorzędowym z grupy tzw. tygrysów szablatozębnych; żył w epoce miocenu i pliocenu, przed ok. 10 mln lat; jego szczątki znajdują się w Polsce.



50 gr (4,5 mln sztuk) Mastodonsaurus — **największy płaz okresu triasowego**, żył przed 200 milionami lat; długość jego czaszki wynosiła ok. 1 m, a ciała — 2 m; od tego płaza wywodzą się pierwsze gady lądowe; szczątki jego napotkano w Niemczech i Czechosłowacji.



7.10 zł (1,4 mln sztuk) Mammuthus — **znany przedstawiciel epoki lodowcowej**, plejstocenu w okresie czwartorzędowym; żył od 100 do 50 tysięcy lat temu; jego szczątki spotykane są i w Polsce.

Polskie znaczki są do nabycia
w La Boutique Polonaise
25, rue Drouot, Paris IX



Bracia Szalałowic. Od prawej: Czesław, Teodor, Edmund i Zygmunt

Szczęście Boże, Szalałowic!

W marcu bieżącego roku minęło czterdzieści trzy lata od chwili, kiedy przyjechali z Westfalii do „Barlu”, jak mówią tacy jak oni właśnie starsi emigranci, czyli do położonej w departamencie Pas-de-Calais miejscowości Barlin. Ojciec miał już wtedy za sobą 32 lata pracy w kopalni — w niemieckiej kopalni. W kopalni w Barlin pracował jeszcze osiem lat. Złł 82 lata; prawie połowę swego życia — bo równe 40 lat — spędził stary Ignacy Szalałowic w kopalni.

Szalałowic miał dużą rodzinę — dziesięcioro dzieci. Synowie — Czesław, Teodor, Edmund i Zygmunt — zostali, podobnie jak ojciec, górnikami; najstarszy z synów, liczący dziś 61 lat Czesław, zaczął pracować w kopalni jeszcze zanim przybyli do „Barlu”, jeszcze w Westfalii. Jeśli zaś chodzi o córki Szalałowic, to z wyjątkiem jednej tylko z nich wyszły one wszystkie za górników.

Przybywszy do Barlin jęli pracować na miejscowej „siódemce”. Przepracowali: Czesław — 32 lata, Teodor — 36 lat, Edmund — 35 lat, Zygmunt — 30 lat. Razem wzięci mają za sobą prawie półtora wieku — bo aż 133 lata pracy w kopalni...

Czesław, Teodor i Edmund są już na emeryturze, najmłodszemu z nich, Zygmuntowi, brak jeszcze do emerytury czterech lat. Z wyjątkiem jednego tylko Czesława bracia Szalałowic mają także wspólne zainteresowania pozazawodowe — są muzykami, grają w orkiestrach miejskich Barlin; Teodor gra

na skrzypcach, Edmund — na saksofonie i na klawirze, a Zygmunt — na puzonie.

*

Ostatnio Czesław, Teodor i Edmund otrzymali za przepracowane w kopalni lata tzw. „médailles d'honneur du travail”. Niezadługo taki honorowy medal otrzyma także i najmłodszy z nich — Zygmunt. Kiedy Zygmunt osiągnie wiek emerytalny i przestanie chodzić na szycie, suma pracy w kopalni braci Szalałowic wynosić będzie 137 lat...

30 i więcej lat pracy w kopalni ma za sobą niejedną w Barlin i w ogóle na Nordzie

górnika. Ale rzadko zdarza się, aby w jednej tylko rodzinie przepracowano aż tyle, aż tak ogromnie dużo lat w kopalni.

*

Bracia Szalałowic z Barlin są żywym symbolem wielkiej pracy, jaką w kopalniach Pas-de-Calais i Nordu wykonały w ostatnich dziesięcioleciach mocne, sprawne i wytrwałe polskie ręce. Możemy być z nich dumni. Życzymy im serdecznie wielu, wielu lat pogodnej emerytury. **Szczęście Boże!** — jak to przy takich okazjach mówią polscy górnicy na Śląsku. — **Szczęście Boże, Szalałowic!**

k.

LISTY Józefa Grzybka

Z całego serca życząc
Wesołych Świąt!

PANIE REDAKTORZE!

Niedawno temu uporaliśmy się w domu z tak zwanymi wiosennymi porządkami. Odkurzanie, tapetowanie, ach, lepiej nie wspominać, po cóż psuć sobie nastrój w okresie Świąt...

Bo oto znowu przecież nadeszła Wielkanoc. Sciany ozdobił bukszpanem i kupionymi w Polsce oraz w „Boutique Polonaise” w Paryżu palemkami, nakupiliśmy kiełbas, jaj, win, nawet i butelka „Martella” stoi w piwnicy, żona przygotowała święcone, niżej zaś podpisany rzetelnie się utrudził przy kręceniu ciasta na babki...

Jak co roku obchodzić bę-

dziemy Wielkanoc po polsku. Zgodnie z polską tradycją dzielić się będziemy w domu jajkiem, jeść babki i inne wielkanocne specjalności i delikatesy, nie omieszkamy też celebrować dyngusów...

Rzecz jasna, że większe ilości smakołyków, o których przed chwilą wspominałem, zakupiliśmy głównie ze względu na dzieci, które w Wielkanoc będziemy u siebie gościć. Nie znaczy to oczywiście, że my sami, tzn. żona i ja staliśmy się ascetami. Nie — po prostu nie ma się już tych trzydziestu lat. Pamiętam, że jakieś piętnaście lat temu po trafiłem zjeść na śniadanie wielkanocne dziesięć jajek na twardo — i nic mi nie było. Dziś bym tego żadną miarą nie potrafił dokonać.

Cóż, postarzałem się, co zresztą nie martwi mnie zbyt mocno. „Wieczór życia przynosi ze sobą swoją lampę” — powiedział francuski pisarz Joubert. To prawda. Nie przejmuję się jakoś tym, że kulinarna strona Świąt nie jest już dla mnie tak ważna jak dawniej. Chyba dlatego, że o wiele bardziej dojmująco niż dawniej przeżywałem dziś całą pozamateriałną treść Wielkanocy.

Myślę, że dzieje się tak dlatego, że wraz z latami nagromadziło się we mnie bardzo dużo różnorodnych wspomnień. Dziś widok święconego wyzwała we mnie przede wszystkim obrazy przeszłości, a potem dopiero apetyt, a kiedyś było odwrotnie. Dziś Święta wruszają mnie mocniej. Wystarczy, abym spojrział na przykład na pęczek bukszpanu, a od razu staje mi przed oczyma nasza wieś w Polsce, i Wielkanoc mojego dzieciństwa, uroda polskiej wiosny, święcone — skromniejsze, o wiele skromniejsze od dzisiejszego naszego święconego, bo składające się tylko z barwionych jajek, sera, soli i chleba, którego najmniejszy nawet

Rady od serca

SZANOWNA PANI ANNO!

Mam dwie córki, dwanaście i szesnaście lat. Ta starsza jest bardzo zdolna, doskonale się uczy i nigdy nie miałam z nią żadnych kłopotów. Młodsza ma ciągle trudności z nauką, otrzymuje bardzo słabe noty i nauczyciele na nią narzekają. Wszyscy stawiają jej za wzór tę starszą i małą to okropnie denerwuje. Zrobiła się nieprzyjemna dla siostry, okazuje jej ciągle niechęć, chwilami wydaje mi się, że jej nienawidzi.

Starsza moja córka też nie jest bez winy — wyśmiewa się z młodej i dokucza jej.

Zupełnie nie wiem co robić. Młodsza dziewczynka bardzo się stara, ale nie może sobie poradzić.

STROSKAŃA MATKA

SZANOWNA PANI!

Myślę, że nie ma powodu do tragedii. Nie wszystkie dzieci muszą być wyjątkowo zdolne. Przykład starszej córki trochę panią rozpieszcili. Oczekiwała pani, że i młodsza będzie tak samo utalentowana. A to są sprawy niezależne od nas. Zdolności to rze-

czy wrodzone. Nie wiadomo, jak to się dzieje, że rodzone siostry tak bardzo różnią się między sobą i charakterem, i sprawnością umysłu.

W konkretnym przypadku należy przede wszystkim wpłynąć na starszą córkę, aby przestała dokuczać młodszej. Zarty i dokuczania mogą odbić się bardzo niekorzystnie na psychice dziecka, mogą wywołać kompleksy i pogorszyć jeszcze stan rzeczy. Zamiast tego starsza siostra powinna pomóc młodszej, przerażonej z nią trudniejszy materiał, tłumaczyć i przepytwać.

Należałoby porozmawiać z dziewczynką w tym duchu. Na pani miejscu zastosowałabym taką taktykę. Wziąłabym córkę na poważną rozmowę w cztery oczy i powiedziałabym, że ona musi pani poradzić, jak pomóc młodszej. W ten sposób córka poczuje się doroslejsza i zrozumie, że jej zdanie liczy się.

Jeszcze jedna sprawa. Niech pani nie czyni małej wymówek z powodu słabych ocen. To nie pomoże. Raczej gdy tylko zdarzy się okazja, że otrzyma choć trochę wyższą notę — należy ją pochwalić.

ANNA

DROGA PANI ANNO!

Czy żona powinna ośmieszać swojego męża przed ludźmi? Wyśmiewać go i wykpiwać? Jak pani sądzi? Bo ja myślę, że tak nie powinno być.

Moja żona udaje wielką panią. Zawsze twierdzi, że zrobiła mi wielką łaskę wychodząc za mnie, bo miała konkurentów bogatszych, mądrzejszych, bardziej wykształconych. I teraz się na mnie odgrywa. W towarzystwie na przykład potrafi powiedzieć: — Mojego męża to muszę namawiać, żeby umył nogi, a już kąpiel to bierze najczęściej dwa razy do roku, albo — mój mąż to nie czyta książek, nawet gazety nie weźmie do ręki. A po francusku to tak mówi, że boki zrywa.

Z początku reagowałem na to, prostowałem te kłamstwa, ale to ją jeszcze bardziej podniecało i zaczynała wygadawać coraz gorsze rzeczy. Nie rozumiem, dlaczego to robi.

Z tym francuskim, to rzeczywiście — nie mówię tak pięknie, ale wie pani, jak to jest. Gdy tu przyjechałem, nie umiałem słowa. Sam się nauczyłem, słuchając jak mówią inni, a ci, z którymi byłem, też za ładnie nie mówili. W końcu przecież nie ukrywam przed nikim, że nie jestem rodowitym Francuzem.

Co pani myśli o tym i co mi pani może poradzić?

GNEBIONY MAŻ

DROGI PANIE!

Rzecz to istotnie dziwna i niezrozumiała. Dlaczego żonie należy, żeby pana poniżyć? Coś musiało wpłynąć na takie jej obyczaje.

Radziłabym panu postawić sprawę ostro. To znaczy przestać bywać w towarzystwie żony. Nie przyjmować żadnych wspólnych zaproszeń. Powiedzieć jej, że kompromituje pana swoimi niemądrymi uwagami i że wobec tego nie może pan dłużej tolerować takiego stanu rzeczy. Mam nadzieję, że żona zrozumie. W końcu, jeśli nie będzie okazji do spotkań z ludźmi, będzie musiała zaprzestać swoich praktyk.

Ale przy okazji niech pan ją zapyta, co mają na celu te bzdury wygadane wobec ludzi. Dlaczego chce pana przedstawić w złym świetle? Zobaczymy, co odpowie.

ANNA

Z polskiej
KUCHNI

BIGOS POLSKI

Pani Z. C. z Bourges prosi o podanie przepisu na polski bigos. Ponieważ po Świętach zostaną na pewno we wszystkich domach różne resztki mięsa i tłuszczu, polecamy ugotowanie bigosu.

Oto przepis:

1 kg kwaśnej kapusty, 1 duża cebula, 6 dkg smalcu, 2 dkg maki, 1/2 szklanki madery. Mięso do bigosu, jakie pozostało z zapasów świątecznych.

Kwaśną kapustę posiekać nożem, zalać rosołem z szynki, o ile nie jest zbyt słony. Jeśli nie ma rosołu, zalać wodą z kostką bulionową i gotować 1 1/2 godziny. Gdy kapusta będzie już miękka, należy zmieszać ją z zasmażką, zrobioną ze smalcu, maki i posiekanej cebuli. Następnie włożyć pokrajane w kostkę resztki mięsa i pieczeni, jak wieprzowinę, cielęcinę, kiełbasę, wołowinę, może być także dziczyzna, drób, ozór, trochę słoniny i szynki. Mięsa może być 1/2 kg lub nawet 1 kg. Kapustę z mięsem należy wymieszać, dodać pieprzu albo papryki, jeszcze trochę pogotować, dodać 1/2 szklanki madery. Bigos podaje się z chlebem albo z ziemniakami, ugotowanymi oddzielnie i okraszonymi słoninką i skwarkami.

Smacznego!



JÓZEF GRZYBEK
z NORDU

UŚMIECH za UŚMIECH

Bogaty program występów artystów i piosenkarzy z Kraju

W dniach od 16 do 30 kwietnia na estradach w Liège, Charleroi, Brukseli, Antwerpii, Retinne, Beringen wystąpi zespół aktorów i piosenkarzy z Polski. Na program ich występów złożą się zabawne skecze, dowcipne kuplety, stare piosenki, nowoczesne przeboje itp. Aktorzy z Polski pierwszy występ dadzą 16 kwietnia w Liège w sali Emulation. (Szczegóły w afiszach).



POLKA TYSIĄCLATKA

Jak przeżyło się ten tysiąc,
to już wątpliwości nie ma,
to spokojnie można przysiąc,
że znów tysiąc się przetrzyma...

Oj, tidi-ridi, wiwat Matka!
Wiwat Polka Tysiąclatka!
Mimo wieku, mimo ran,
jak dzierlatka znowu w tan!...

Rozpędziły nas wypadki
w przestrzeń obcą i ogromną,
w każdym kraju polskie dziatki,
które Matki nie zapomną!

Oj, tidi-ridi, wiwat Matka!
Wiwat Polka Tysiąclatka!
cały Ci się kłania świat
na tych Twoich tysiąc lat!

Fragment pełnej werwy Polki Tysiąclatki, której autorem jest znakomity polski satyryk Marian Załucki. Polkę wykonuje cały zespół



Ze skrzypcami w rękę Jerzy Ofierski

Kuplety Piastelsów

Choć się niejeden roześmieje
z fryzury co nam kark porasta
nie to nowego przecież nie jest
tak się noszono już za Piasta

Niniejszym więc się przedstawiamy
my — nie Bitelsi lecz Piastelsi
i satysfakcję cichą mamy
że myśmy na to wpadli pierwsi,
pierwsi, pierwsi, pierwsi.

A dziś na dobre i na złe
mamy swój refren je-je-je.

Zabawne kuplety „Piastelsów” wykonują: Teresa Belczyńska, Zbigniew Korpolewski oraz Jerzy Ofierski

Amerykańskiego turystę (A) oprowadza po Krakowie przewodnik (P). Oto fragment ich rozmowy w zabawnym skeczu:



AMERYKANIN W KRAKOWIE

- A: A jak długo ten Wawel budowali?
P: Ostatnia przebudowa trwała trzydzieści lat...
A: U nas w Ameryce zbudowaliby taki Wawel za dwa lata. A co to jest?
P: Sukiennice. Wybudowane w XIV wieku.
A: Pam sorry. Jak długo budowali Sukiennice?
P: (Do publiczności) Pobujam go, niech nie będzie taki ważny. (Do A.). Dwa lata.
A: U nas takie Sukiennice wybudowaliby za miesiąc.
P: (Do publiczności) Nie wytrzymam z facetem.
A: A co to jest?
P: Kościół Mariacki.
A: Bardzo ładny, tylko że wieże nierówne. Jak długo budowali ten Kościół?
P: A wie pan, że nie wiem. Jak wczoraj wieczorem tędy przechodziłem to jeszcze tego nie było.

Pożegnalna piosenka na zakończenie atrakcyjnego programu, pełnego sentymentu i dowcipu

Nad Sambrą i Mozą

Wcale nam niełatwo żegnać wasze miasto
gdzie tak polskie ręce radzą sobie chwacko
bo nam przecież drogie każde w świecie miejsce,
w którym bije polskie szczerozłote serce.

A gdy powrócimy znów nad Wisłą modrą
wdzięczność zachowamy za gościnność szczerą
i od fal błękitnych Sambry oraz Mozy
pozdrowimy nasze nadwiślańskie brzozy.

WAŻNE DLA WYJEŹDŻAJĄCYCH DO POLSKI

Podobnie jak w latach ubiegłych Przedsiębiorstwo Międzynarodowych Przewozów Samochodowych „PEKAES” oraz przewoźnik belgijski West Belgium Coach Company — uruchamiają od 7 maja br. z Ostendy i od 9 maja br. z Poznania

● **REGULARNĄ KOMUNIKACJĘ AUTOKAROWĄ** pomiędzy Poznaniem i Ostendą z dogodnymi połączeniami do półn. Francji i Londynu. Linia obsługiwana będzie przez nowoczesne autokary turystyczne. W drodze zapewniony nocleg, kolacja i śniadanie.

Cena biletu powrotnego łącznie z noclegami i posiłkami wynosi: 1.814.— frb.

Cena biletu w jednym kierunku również z noclegiem i posiłkami: 978.— frb.

Dzieci w wieku od 4 do 10 lat opłacają 50% należności, ale tylko za przejazd.

Informacji udzielają w BELGII: West Belgium Coach Company, Ostenda, Koningstraat 14, tel. 77621. W POLSCE: wszystkie kasy zagraniczne P.B.P. „ORBIS” oraz P.M.P.S. „PEKAES”, Warszawa, ul. Świętokrzyska 30 tel. 20-32-35.

Sprzedaż biletów i rezerwacja miejsc w Ostendzie w West Belgium Coach Company oraz w Polsce: w zagranicznych kasach P.B.P. „ORBIS”, Warszawa ul. Marszałkowska 99a (Hotel Metropol) i w Poznaniu ul. Roosevelta 15/20 (Hotel Merkury).

Głos ma Michalinka

CO OPOWIADA MANIUSIA

Mamy teraz świąteczne wakacje, więc posłam z moją koleżanką Helenką na spacer. Mama Helenki przed wyjściem z domu dała jej dwa franki.

Spacerowałyśmy po mieście i oglądałyśmy świąteczne wystawy. Nagle Helenka zajrzała do kieszeni i zobaczyła, że nie ma dwóch franków. Widocznie musiała te pieniądze zgubić. Bardzo się tym zmartwiłyśmy, ale nic nie można było poradzić. Spacerując dalej, zatrzymałyśmy się przed cukiernią.

— Popatrz! — zawołała Helenka. — Widzisz te ciastka z kremem? Gdybym nie zgubiła moich dwóch franków, kupiłabym takie jedno ciastko dla ciebie i jedno dla mnie.

— Szkoda! — zawołałam, bo ciastka bardzo mnie nęciły. Poszłyśmy sobie dalej i ujrzałyśmy na ulicy sprzedawcę lodów.

— Ach! — zawołała Helenka. — Gdybym nie była zgubiła pieniędzy, kupiłabym dwie największe porcje lodów śmietankowych dla ciebie i dla mnie!

Coraz bardziej żałowałam tych zgubionych franków Helenki.

Idąc w dalszą drogę przystanęłyśmy przed sklepem z zabawkami.

— Maniusiu kochana — mówi do mnie Helenka. — Widzisz tę piłeczkę? Gdybym nie zgubiła moich dwóch franków, zaraz bym ci ją kupiła.

Westchnęłam głęboko z żalu. Ale podziwiałam dobroć mojej koleżanki. Tymczasem Helenka narzuciła na siebie trzymany w rękę płaszczyk. W tej chwili coś zadźwięczało i z kieszeni płaszczka wypadły dwie frankowe monety. Ucieszyłyśmy się bardzo z odnalezionej zguby i wesoło poszłyśmy dalej. Naprzeciw nas znów przejeżdżał wózek z lodami.

— Helusiu, popatrz, są śmietankowe lody!

Ale Helusia się skrzywiła. — Za zimno teraz na lody.

— Więc może wejdziemy do tej cukierni na ciastka z kremem?

— No wiesz! Przed kolacją nie będziemy się napychać ciastkami.

— To może wrócimy do sklepu z zabawkami, gdzie są te ładne piłeczki?

— Moja kochana Maniusiu — odparła niechętnie Helenka — ja się już bardzo śpieszę i biegnę do domu. Do widzenia! — krzyknęła i już jej nie było.

Widzicie jaka ona jest?! I po co ja się tak martwiłam, gdy zgubiła swoje dwa franki! I po co tak się ucieszyłam, kiedy je znalazła?

MICHALINKA

MISTRZ FRANCJI W JUDO - JAN KOŁODZIEJCZAK

Po francusku pisze się: judo. Po polsku: dżudo. Według polskiego „Słownika wyrazów obcych” dżudo jest to „walka wręcz, polegająca na zręczności i szybkości chwytów, spokrewniona z dżiudżitsu”. A nasz rozmówca powiada, że dżudo jest doskonałym sportem. Ze trzeba, jeśli w ogóle chce się „do czegoś dojść”, dużo i ustawnie trenować. Ze wbrew uparciu krążącym wśród ludzi wyobrażeniom, dżudo nie jest sportem brutalnym i nie wyzwala w człowieku agresywności.

Powiem dla przykładu parę słów o swoim synku. Jacques, chociaż ma dopiero 7 lat, uprawia także dżudo. Jest już nawet posiadaczem „ceinture jaune”

(Zdobywane przez uprawiających dżudo umiejętności sankcjonuje się nadawaniem pasa; istnieje siedem różnokolorowych pasów, odpowiadających siedmiu poziomom umiejętności; doskonałość osiąga się w dżudo wraz z uzyskaniem pasa koloru czarnego tzw. „ceinture noire”).

Otóż gdyby dżudo wyzwalało rzeczywiście w człowieku jakieś brutalne instynkty, to mój Jacques musiałby bić się w szkole ze wszystkimi swoimi kolegami. I wykorzystywał przy tym zdobyte na lekcjach dżudo umiejętności. Jacques jednak ani myśli się bić, nieśmiały jest jak dziecinny. On po prostu bardzo lubi dżudo i już. I to do tego stopnia, że jeśli, bywa, za-



Jan Kołodziejczak z pucharem wręczonym mu po zdobyciu tytułu mistrza Francji. Obok — kierownik klubu dżudo w Rouvroy p. B. Janowski

niedbujecie w szkole naukę, to wystarczy, że mu powiem: „No, jak tak będzie dalej, to będziesz musiał pożegnać się z dżudo” i natychmiast wszystko wraca do porządku.

Nasz rozmówca nazywa się Jan KOŁODZIEJCZAK. W Billy-Montigny (Pas-de-Calais), gdzie właśnie jesteśmy, koledzy i znajomi mówią po prostu „Kolo”. Jan Kołodziejczak pracuje w kopalni w Méricourt, w tamtejszym „siège 4/5 sud”. Ma 27 lat; w kopalni pracuje od 14 roku życia. Ma trudną i odpowiedzialną pracę; należy do ekipy czuwającej nad bezpieczeństwem szybu, przez całą szychę pracuje w pasie bezpieczeństwa. Jan Kołodziejczak jest żonaty, ma troje dzieci — dwóch synów i córeczkę. Jest on również — od 8 stycznia br. — mistrzem Francji w dżudo.

— Mistrzostwa odbyły się w Paryżu — opowiada Jan Kołodziejczak. — Uczestniczyło w nich 160 zawodników, reprezentujących 250 klubów z Paryża i prowincji. Z Nordu byłem tylko ja je-

den. Miałem groźnych przeciwników: Volickera z Marsylii i Petitpied z Ile-de-France. Petitpied to prawdziwy kolos. Ale mimo iż do Paryża pojechałem prosto z pracy, zdołałem pokonać i jednego i drugiego. No i zostałem mistrzem Francji...

Ucieszyłem się ogromnie, ucieszyli się również i moi koledzy, bowiem od 1937 roku nie było mistrza Francji w dżudo rodem z Nordu. Otrzymałem list gratulacyjny od prezesa „Ligue du Nord de Judo”, doktora Raoula Ducrocq; merostwo Billy-Montigny wydało z tej okazji przyjęcie, od władz miejskich otrzymałem także medal oraz prezent w postaci dresu.

Ogromnie ważny jest także fakt, że wraz z tytułem mistrza Francji zdobyłem czarny pas, należałem bowiem do „ceintures marrons”, ale zdobywszy tytuł mistrza zostałem automatycznie zaliczony do „ceintures noires”. Ponieważ jednak do noszenia czarnego pasa jest się uprawniającym dopiero po trzech latach praktyki, moja przynależność do tej kategorii stanie się efektywna i zostanie oficjalnie zatwierdzona dopiero w październiku br. Bo dopiero w październiku będę miał za sobą wymagany trzyletni trening.

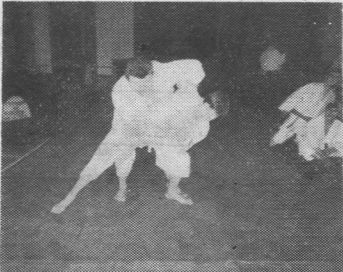
Mistrz Francji Jan Kołodziejczak jest członkiem klubu dżudo w swoim rodzinnym mieście — Rouvroy i uczniem technicznego kierownika tego klubu — Brunona Janowskiego. Klub w Rouvroy, którym obok p.



Jan Kołodziejczak z dziećmi, w środku 7-letni syn Jacques

Brunona Janowskiego kierują pp. Antoni Galiński, André Paindavoine i Jerzy Janowski, istnieje od trzech lat. „Dżudo staje się powoli sportem popularnym” — mówi Jan Kołodziejczak. Klub liczy około 90 członków; członków pochodzenia polskiego jest 15. W klubie są cztery „czarne pasy”, no i należy do niego sam mistrz Francji, który choć najczęściej pracuje na nocnej zmianie, to jednak stara się nie opuszczać żadnego treningu.

Gotowi jesteście założyć się, że Jan Kołodziejczak zdobył jeszcze niejedyn tytuł mistrzowski. Jest on bowiem ogromnie, entuzjastycznie wręcz pracowity. A w dżudo po uzyskaniu „ceinture noire” stoi przed sportowcem możliwość zdobycia doskonałości na najwyższym szczeblu — uzyskania tak zwanych „dan”, których — tak jak i pasów — jest siedem. K.



Trening w Klubie Rouvroy

Dawno już paryski Parc des Princes nie był chroniony na dwie godziny przed meczem przez silny kordon policji ustawiony w promieniu 200 metrów od bram stadionu. Publiczności stawiono się grubo więcej niż na międzynarodowe spotkanie Francja — Włochy. Około 40 tysięcy kibiców na trybunach, około 20 tysięcy odeszło od kas nie mogąc zdobyć biletów. Od dawna bowiem paryżanie stali się zagorzałymi zwolennikami drużyny Reims, która w tym dniu miała się spotkać w Pucharze Francji z Rennes. Od pierwszych minut publiczność potężnym chórem skandowała „Ko-pa, Ko-pa, Ko-pa!”. Popularny Rajmund Kopaczewski nie zawiódł swoich zwolenników. Kierowana przez siebie odmłodzona jedenastka z Groszelskim, Bojko, Lenemanem i Gaidozem przypomina sławne czasy zespołu Kopy, Głowackiego i Fontaine'a. Podanie Groszelskiego do Richarda, centra przejęta przez Kopy i precyzyjnie przekazana Gaidozowi... W 12 minucie Reims prowadziło, a ostateczny wynik 1:1 zmusił znowu do powtórzenia meczu.



NA EKRANIE TV od 10 IV. do 16 IV.

PROGRAM I (première chaîne)

DZIENNIK — Télé-Midi o 13.00, Télé-Soir o 20.00 i Télé-Minuit między 22.20 a 23.55.

WIADOMOŚCI Z FRANCJI (Paryż i Ile-de-France) — o 19.40 oprócz sobót i niedziel.

ROULETTE — o 19.25 oprócz sobót i niedziel.

NIEDZIELA 10 KWIETNIA

12.00 La séquence du spectateur. Fragmenty filmów Ewangelia wg św. Mateusza, Paszlińskiego, Kopciuszka Disneya, Napięknijesz oszustwa świata Chabrola.

14.30 Télé-Dimanche z udziałem Dario Morena.
17.15 Trzyznaście na tuzin — film Waltera Langa.
19.30 Don Kichot — odcinek I.
22.25 Pewne spojrzenie — program dz. naukowego.

PONIEDZIAŁEK 11 KWIETNIA

20.30 Variétés — balet ukraiński.
21.00 Présence du passé (Obecność przeszłości).
22.40 Les Incorruptibles (Nieprzekupni).

WTOREK 12 KWIETNIA

20.30 Tajemnice Paryża — real. Marcel Cravenne.

ŚRODA 13 KWIETNIA

20.30 La piste aux étoiles (Arena gwiazd).

CZWARTEK 14 KWIETNIA

16.30 Program dla młodzieży (do 19.20).
19.25 Rocambole — nowy film serjyny.
20.40 La Palmarès des Chansons.
22.00 Program medyczny.

PIĄTEK 15 KWIETNIA

20.20 Panorama.
22.00 A vous de juger — Monique Chapelle omawia aktualności filmowe.

SOBOTA 16 KWIETNIA

15.00 Les étoiles de la route (Gwiazdy szosy).
20.30 Cecylia — lekarz wiejski (odc. 2).
22.00 Les Conteurs (Gawędziarze) — program naukowy.

PROGRAM II (deuxième chaîne)

DZIENNIK — Télé-Soir codziennie po 22.00, w poniedziałek o 21.30.

VIVE LA VIE (Niech żyje życie) — codz. o 20.15.

NIEDZIELA 10 KWIETNIA

14.45 Fantaisies à la une.
15.10 Straceficy — film Johna Forda (John Wayne).
17.10 W imieniu prawa — film Steve Mac Queena.
19.30 Le document perdu (Zgubiony dokument).

PONIEDZIAŁEK 11 KWIETNIA

20.30 Biała ciężarówka — film Léo Joannona.

WTOREK 12 KWIETNIA

20.30 Champions (Mistrzowie).

ŚRODA 13 KWIETNIA

20.50 Sur les pointes — film pełnometrażowy.

CZWARTEK 14 KWIETNIA

20.30 16 milionów młodych.
21.00 Program teatralny.

PIĄTEK 15 KWIETNIA

20.30 Stracone złudzenia.

SOBOTA 16 KWIETNIA

18.30 Sport-débat.
22.50 Féminin singulier — program rozrywkowy.

- TELEWIZORY
- POLSKIE PŁYTY

- ELEKTRYCZNY SPRZĘT
- GOSPODARSTWA DOMOWEGO

Jean STABLINSKI

kolarski mistrz świata w 1962 r.
mistrz Francji w latach 1960—1962 i 1963

7, Place du Marché aux Herbes (naprzeciw poczty głównej)
VALENCIENNES Tél. 46-59-14

CENY BEZKONKURENCYJNE!

Marki naszych aparatów: TELEFUNKEN — TEVEA — RADIOLA — PHILIPS i inne





Rzeźby Xawerego Dunikowskiego eksponowane były w salonach Konsulatu Generalnego PRL w Paryżu



Mistrz Antoine (drugi z prawej) w rozmowie z prof. Lorentzem (pierwszy z prawej) i konsulem generalnym PRL w Paryżu p. Januszem Mickiewiczem

WJEDNYM z listopadowych numerów „Tygodnika Polskiego” informowaliśmy o decyzji mistrza Antoine’a CIERPLIKOWSKIEGO przekazania Polsce z jego osobistych zbiorów 13 rzeźb i 3 obrazów wielkiego polskiego artysty i rzeźbiarza Xawerego Dunikowskiego. Tym pięknym aktem darowizny mistrz Antoine pragnie uczcić Tysiąclecie Państwa Polskiego i wzbogacić zabytki muzealne Polski.

W salonach Konsulatu Generalnego w Paryżu odbyła się ostatnio piękna uroczystość — eksponowano tuż przed wysłaniem do Kraju rzeźby i obrazy Xawerego Dunikowskiego. Konsul generalny PRL w Paryżu p. Janusz MICKIEWICZ wydał z tej okazji cocktail. Na uroczystość w salonach Konsulatu Generalnego w Paryżu przybył ofiarodawca cennych darów — najslawniejszy z paryskich fryzjerów, mistrz Antoine CIERPLIKOWSKI, rodem z Sieradza, od lat mieszkający w Paryżu i znany powszechnie mecenas sztuki. Przybył również ambasador PRL w Paryżu p. Jan DRUTO, dyrektor Muzeum Narodowego w Warszawie prof. Stanisław LORENTZ, liczni polscy dyplomaci oraz przedstawiciele świata kulturalnego i artystycznego. Wśród obecnych był też protektor młodych polskich adeptów sztuki i sportu — p. markiz Eugène KUCHARSKI.



DAR MISTRZA ANTOINE PRZEKAZANY WARSZAWIE

— Chciałbym ze szczególnym naciskiem podkreślić — mówił konsul generalny p. Janusz Mickiewicz — iż mimo osobistej wartości tych pamiątek po przyjacielu — Xawerym Dunikowskim, z którym mistrza Antoine’a łączyła bliska i serdeczna przyjaźń, pan Cierplikowski dowiedziawszy się o powstaniu w Warszawie muzeum Dunikowskiego, bez wahania uznał, że tam właśnie jest dla nich miejsce najlepsze. Aktem tym pragnie on uczcić Tysiąclecie Państwa Polskiego, powód do dumy wszystkich Polaków i osób polskiego pochodzenia na całym świecie...

Dyrektor Muzeum Narodowego w Warszawie prof. Stanisław Lorentz, dziękując mistrzowi Antoine’owi za dar tym cenniejszy, że rzeźby i obrazy Xawerego Dunikowskiego nie są przez p. Cierplikowskiego zakupione, lecz zostały jemu podarowane przez artystę-rzeźbiarza, serdecznie zaprosił mistrza Antoine’a, by podczas swego najbliższego pobytu w Polsce zechciał odwiedzić muzeum Xawerego Dunikowskiego, gdzie znajdują się również i jego dary. Uzupełnią one zbiory muzeum, które powstało dla uczczenia pamięci wielkiego artysty w Królikarni w War-

szawie. Wśród darów i przekazanych dzieł znajdują się takie bezcenne rzeźby jak: „Macierzyństwo”, „Tchnienie”, „Głowa artystki”, „Głowa Pani Lipskiej”, „Zwiastowanie” i inne. Trzy obrazy Dunikowskiego to: „Laleczka”, pierwszy obraz Dunikowskiego, „Studio” i „Antoine”. Cierplikowski przekazał też „Portret Dunikowskiego” pędzla wybitnej polskiej malarki, mieszkającej do śmierci w Paryżu — Olgi Boznańskiej.

Tak więc już w najbliższym czasie zwiedzający muzeum Dunikowskiego w Warszawie będą mogli obejrzeć bogatsze o cenny dar mistrza Antoine’a zbiory dzieł i pamiątki po Dunikowskim — nieżyjącym już, wielkim artyście-rzeźbiarzu.

Warto przypomnieć, że Antoine Cierplikowski ufundował też dwa jednorazowe stypendia dla młodych, utalentowanych Polaków, a rodzinnemu miastu — Sieradzowi — funduje szkołę artystyczną według projektu przygotowanego przez Tadeusza Podsiadłego — ucznia Dunikowskiego.

Uka

Konsul generalny PRL w Paryżu p. Janusz Mickiewicz serdecznie dziękował mistrzowi Antoine za cenny dar — 13 rzeźb i 3 obrazy Xawerego Dunikowskiego. Na zdjęciu od lewej: ambasador PRL w Paryżu p. Jan Druto, mistrz Antoine Cierplikowski, profesor Stanisław Lorentz — dyrektor Muzeum Narodowego w Warszawie oraz pan Janusz Mickiewicz



ANTOINE, le plus célèbre des grands coiffeurs parisiens, nos lecteurs le savent, s'appelle Cierplikowski et est originaire de Sieradz. Une profonde amitié le liait au grand sculpteur polonais Xawery Dunikowski et il en garde la plus belle collection qui soit des oeuvres de l'artiste polonais. Apprenant qu'un Musée Dunikowski s'ouvrirait à Varsovie, il décidait de lui faire don de 13 sculptures et 3 tableaux. Avant leur envoi en Pologne, ces oeuvres ont été exposées dans les salons du consulat général de Pologne à Paris. Une petite réception offerte par M. Janusz Mickiewicz consul général, a réuni le généreux donateur, l'ambassadeur de Pologne M. Jan Druto et le directeur du Musée National de Varsovie, M. Stanisław Lorentz.

Zdjęcia:
Władysław SŁAWNY



PIĘKNO
POLSKIEJ
ZIEMI

OBIDOWA — wieś w powiecie nowotarskim, położona na wysokości 700 metrów nad poziomem morza między łagodnymi grzbietami Obidowca, Jaworzynki, Skalki i góry Obidowej, ma bogatą i długą historię. Przez wieś, wymienianą w dokumentach historycznych od XV wieku, wiódł szlak z królewskiego grodu Krakowa przez Tatry na Węgry. Dziś przez wieś biegnie główna szosa Kraków—Zakopane, droga najliczniej w Polsce uczęszczana przez turystów. W latach okupacji hitlerowskiej Obidowa była terenem działania oddziałów partyzanckich. Dla uczczenia bohaterskich walk z Niemcami wzniesiono w sąsiedniej Rudawce okazały pomnik. Na najwyższym wzniesieniu szosy Kraków—Zakopane stoi zażytkowy kościół drewniany (na zdjęciu), otoczony murem i starymi lipami. Jest to sławny kościół automobilistów, gdzie odbywają się doroczne zloty członków Automobilklubu. Warto zobaczyć ten rzadki i ciekawy zabytek.

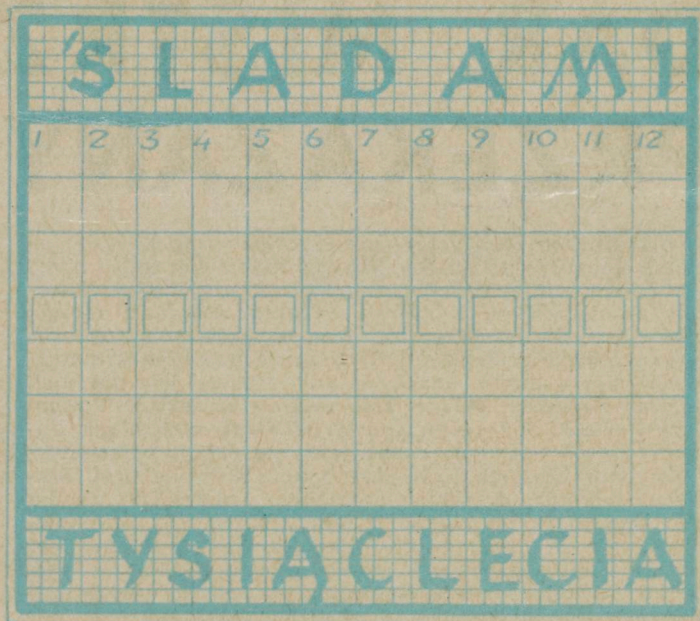
Rozrywki umysłowe

LOGOGRYF

Prosimy odgadnąć 12 wyrazów siedmioliterowych o podanych niżej znaczeniach i wpisać je pionowo do odpowiednich krutek rysunku. Dla ułatwienia podajemy, że wszystkie wyrazy rozpoczynają się na tę samą literę. Litery, które się znajdują w polach o podwójnej ramce, czytane poziomo dadzą hasło zadania.

ZNACZENIE WYRAZÓW: 1) obiecanki cacanki na wierzbie, 2) świątynia pogańska u dawnych Słowian, 3) tkanina dekoracyjna głównie do ozdoby ścian, arras, 4) przyrząd do kreślenia tuszem linii, 5) austriackie albo babskie brednie, bzdury, paplanie, 6) miedza między państwami, 7) zabieranie siłą cudzej własności, rabunek, 8) kromka chleba lub bułka suszona albo przysmażona z masłem, 9) tajna policja w hitlerowskich Niemczech, 10) niedoświadczony młodzik, młokos, 11) poręczyciel, żyrant wekslowy, 12) kara pieniężna wymierzana przez sąd.

Rozwiązania prosimy nadsyłać pod adresem redakcji w ciągu dwóch tygodni od daty ukazania się numeru z dopiskiem na kopercie „Rozrywki umysłowe”. Wśród Czytelników, którzy nadesłali bezbłędne rozwiązania, zostaną rozlosowane **NAGRODY KSIĄŻKOWE**.



ROZWIĄZANIE LABIRYNTU Z NR 12

„Kto pragnie oświecenia powszechnego, ten jest niewątpliwie przyjacielem równości i niepodległości ludzkiej”.

(Hugo Kolląta)

ROZWIĄZANIE LOGOGRYFU Z NR 12

ZNACZENIE WYRAZÓW: 1) podstęp, 2) partacz, 3) Polanie, 4) Pieniny, 5) powidła, 6) piastun, 7) popłoch, 8) podanie, 9) prawica, 10) plaster, 11) protest, 12) poranek, 13) prostak, 14) puszcza, 15) pupilek, 16) płaczek.

Hasło zadania: **STANISŁAW STASZIC**.

KOŁÓWKA

Prosimy odgadnąć 16 wyrazów sześcioliterowych o wspólnej literze początkowej „W” znajdującej się w środku koła i wpisać je odśrodkowo do podanego rysunku. Litery, które się znajdują w polach o podwójnej ramce, czytane w kierunku strzałki dadzą hasło zadania.

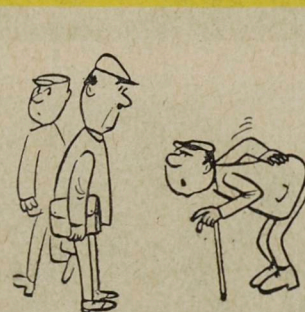
ZNACZENIE WYRAZÓW: 1) prążkowana lśniąca tkanina bawełniana podobna do aksamitu, rodzaj sztruksu, 2) czaty, pikiet, placówka, 3) dawna siedziba królów Francji koło Paryża, obecnie miejsce obrad Zgromadzenia Narodowego przy wyborze prezydenta republiki, 4) krzewinki leśne o drobnych fioletowych kwiatach, 5) grube sukno z twardej wełny, rodzaj filcu, 6) wydalenie powietrza z płuc, 7) bywa w mieszkaniach mokrawych, przesiąkniętych parą, 8) głosowanie na kandydatów do parlamentu, 9) w gwarze uczniowskiej: samowolne włączenie się w czasie lekcji szkolnych, 10) niebezpieczna zaraźliwa choroba zwierząt, przenoszona się i na ludzi w postaci wrzodu na karku, czarna krosta, 11) przezroczyta zasłona z tiulu na twarz, 12) gody weselne, 13) powierzchowność, zewnętrzna postać, 14) zagraniczne pieniądze, 15) przyrząd celowniczy w aparacie fotograficznym, 16) wolna posada, nie obsadzone stanowisko.



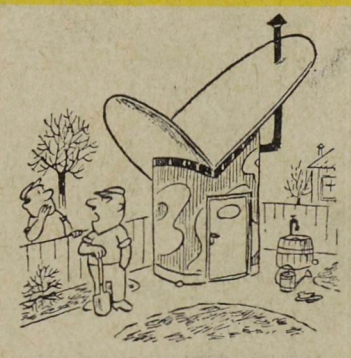
Retour
au
jardin



— Trochę za mocno pachnie wiosną.
— Ah, ces effluves du printemps...



— Nie jestem chory, kopalem w ogródku...
— Des rhumatismes? Non! Du jardinage!



— Cóż to, nie słyszałeś o nowoczesnych formach?
— Je vois que le modernisme te déplaît...

